

## Tropem anonimu czyli o stosunkach w pewnej szkole

Bronisław Kowalski str. 3

## Maciej Podgórski demaskuje...

Biblioteka  
UMCS  
Lublin

Opowiadanie - Stanisława Harasimiuka str. 10

ROK ZAŁOŻENIA 1933

# Kamena

LUBLIN 15 IV 1979 NR 8 (676)

DWUTYGODNIK SPOLECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

## Światło Filipiaka

Ireneusz J. Kamiński

**W**LADYSŁAWA Filipiaka poznałem w 1963 roku na kwietniowej wystawie czterech województw Polski wschodniej, która odbyła się w lubelskim BWA, a później w Białymstoku, Kielcach i Rzeszowie. Artysta pokazał wówczas wyabstrahowane „Spięta”, ale i „Kobieta z gitarą” — lekce sobie ważąc ironiczne komentarze poniekąd kolegów, kręcących głowami nad taką rozpiętością stylistyczną aktualnej twórczości Filipiaka. Nie potrzeba było większej przenikliwości, by zorientować się, że 55-letni wówczas malarz nie ulega zwątpieniom, frustracjom, kryzysom egzystencjalnym, czyli tym nastrom, które na początku lat sześćdziesiątych wręcz wypadło przeżywać, aby zasłużyć na miano artysty XX wieku. Naturalnie, przepustką do formacji nowoczesnych była również twórczość sama: „zbliżająca się do abstrakcji”, informelowa lub neokonstruktivistyczna. Aluzje przedmiotowe i motywy figuralne znajdowały akceptację środowiskowych decydentów tylko po przepuszczeniu przez wyżymaczkę surrealizmu, zmontowaną w warunkach krajowych z zachodniego złomu i części zamiennych grupy „Phases”. Ale „Kobieta z gitarą”?

Dokończenie na str. 6



Z twórczości Władysława Filipiaka

Fot. A. Polakowski

## LUBELSKA

## WIOSNA

## 1919

Mirosław Derecki

**Ś**WIĘTA Wielkanocne wypadły w 1919 r., pierwszym roku niepodległości Polski, 20 i 21 kwietnia. Karnawał był długi, trwał całych tygodni dziewięć, po Popielcu szybko miały w tegorocznej, niecodziennej atmosferze kolejne niedziele — Wstępna, Sucha, Głucha, Śródpostna, Męki Pańskiej, Palmowa... Rok 1919 ery chrześcijańskiej był zarazem — jak informowały popularne kalendarze — 6632 rokiem okresu Juliańskiego, 7427 rokiem ery Konstantynopolitańskiej i 5680 — ery zydowskiej. Minęły 954 lata od zaprowadzenia chrześcijaństwa w Polsce, 446 od urodzenia Mikołaja Kopernika i 427 od odkrycia Ameryki przez Kolumba.

W Lublinie firma „Reklama” przy ul. Krakowskie Przedmieście kontynuowała szacowne, pół wieku już sobie liczące, wydawnictwo M. Kossakowskiej — „Kalendarz Lubelski”. W tym roku nosił on na okładce dobrze wyeksponowaną liczbę „51” — rozpoczynało się drugie półwiecze „Kalendarza” — okoloną bogatą secesyjną girlandą; powyżej widniał rysunek Bramy Krakowskiej. Kwiecień zapowiadał się według przewidywań „Kalendarza Lubelskiego” nienajgorzej: słońce wstępowało w znak Byka. Z pogodą miało być różnie: do 8 kwietnia zimno i mroźno, 8 wiatr i deszcz, od 19 do 25 zmienne powietrze, potem zimno i pochmurno aż do końca miesiąca. To była prognoza długoterminowa, przygotowana przez redaktorów wydawnictwa już szereg miesięcy temu, pod koniec ubiegłego roku, gdy zecerzy składali kolejne strony „Kalendarza”. Skąd brano dane meteorologiczne w dobre, gdy nie było balonów stratosferycznych i sputników — nie wiadomo. Ale widocznie były sposoby. Nie istniał na przykład południowy sygnał radiowy z obserwatorium astronomicznego w Krakowie „z dokładnością do pół sekundy”, lecz „Kalendarz Lubelski” miał na to radę: Kiedy na kompasie godzina 12.00, na zegarze, 18 kwietnia, być powinna godzina 11.59. A 23 kwietnia — godzina 11.58.

Dokończenie na str. 8

Waldemar Michalski

## UCHANIE

Klawisze wspomnień  
przywołujcie pamięć serdeczną:  
Uchanie — białe sadów muszle  
dławiące w maciejki oddechu  
źródłany wieczoru chłód.  
Otwieram pierś:  
lęki dymią wołaniem późnym  
i czajki lotne w bagna wwodzą  
kochanków bosych.

Ikony kadzidłem jałowców  
ogień czasu palą krwawy  
w stokrotnych zwierciadłach monstrancji.

Krew na śniegu pulsuje  
sól do rany się wciska  
co było przeszło — więc płyn łodzi  
dni niecierpliwych  
giń echo w ramionach lip.

A gdy jeszcze trafię do Uchań  
to z gardłem ściśniętym  
nie powiem: witaj  
nie powiem: żegnaj  
bo nie umarło we mnie  
co sercem pulsuje gorącym.

Udanego wypoczynku  
świętecznego  
życzy „Kamena”

# Duchu jesteś tu?

„Le Nouvel Observateur”  
porusza tak modny teraz temat  
parapsychologii, przedstawia-  
jąc jednego z francuskich ja-  
snowidzów — mediów — cu-  
dotwórców.

Jean Pierre Girard miał wiarę, kiedy był jeszcze chłopcem, sierotą, oddaną przez Opięć Społeczną pewnej chłopskiej rodzinie w departamencie Indre-et-Loire, ludziom, którzy go kochali i których on także kochał, ale którzy z trudem umieli czytać i pisać. Jean Pierre koniecznie chciał budzić zainteresowanie — blaznował w szkole ile się dało, ku rozpacz i wściekłości swego wychowawcy, tym większej, że chłopak zaczął się zabawać zgadywaniem jego myśli i to tak trafnie, że wprowadzony z równowagi nauczyciel sflakował go w końcu na kwaśne jabłko. „Były dni, że miałem wrażenie, że zaglądam mu do głowy — opowiada Jean Pierre Girard. — Była to telepatia, ale ja wtedy o tym oczywiście nie wiedziałem. Nie miałem pojęcia, że coś takiego istnieje”. Administracja przeniosła go więc do innej szkoły, z internatem.

W internacie mały Girard przestał czytać myśli. Ale nie powodziło mu się najlepiej. Miewał napady lunatyzmu, raz nawet wypadł przez okno sypialni. Kiedy wreszcie skończył szkołę, oddano go na naukę zawodu do pewnego wytwórcy tkanin artystycznych w Tours. Ale nie podobało mu się tam — praca była ciężka, a płaca nędzna. Próbuje szczęścia w wytwórni chemicznej.

W osiemnastym roku życia doznał swoistego objawienia — znów z latwością zaczął czytać w myślach innych. „Przez kilka tygodni dosłownie rzuciłem się na ludzi, chciałem pojąć wszystkie ich sekrety. Ale rozczarowałem się bardzo — wszyscy w gruncie rzeczy myślą mniej więcej o tym samym”.

Jednocześnie zaczął pochłaniać książki z żarłocznością samouka. „Interesowała mnie przede wszystkim medycyna i psychologia. Wystarczyło mi spojrzeć na stronę, by ją potem odnaleźć w pamięci całą i niekniętą”. Kiedy miał 19 lat wstąpił do wojska. W monotonii służby medytacje były jego główną rozrywką. I pewnego wieczoru... „Wyszedłem, żeby pojechać gdzieś samochodem. Kiedy sięgnąłem po kluczyki do kieszeni nagle poczułem, że mógłbym je zgnać — gdybym tylko zechciał. Wyjąłem je i spojrziałem machinalnie — rzeczywiście jeden był zgnięty, nie pasował do zamka”.

Przypadek? Zbieg okoliczności? Złudzenie? Żeby się o tym przekonać zaczął robić doświadczenia. Zamykał się w swoim pokoju w koszarach i próbował zgnać metalową linkę leżącą na stole. Nie udawało się to tak długo, aż pewnego razu znów doznał owego niezwykłego uczucia — że może. Od tego czasu nie miał już wątpliwości i zaczął trenować. Zginanie już mu nie wystarczało, próbował przesuwać przedmioty siłą woli i też w końcu mu się to udawało.

I co potem? „Nie — odpowiada Girard. — Nikomu o tym nie mówiłem, bałem się ośmieszenia. Za każdym razem, kiedy chciałem zademonstrować moje umiejętności innym — nie udawało mi się”. Po skończonej służbie wojskowej wziął się do handlu, od-

krywając swoje drugie powołanie. W międzyczasie, ponieważ rzeczy nie-  
zwyczajnie nadal go fascynowały — zaczął się uczyć prestidigitatorstwa.

W 1974 r. Uri Geller, medium o sławie międzynarodowej, występuje we francuskiej telewizji. Opowiada, że swój dar ma od istot pozaziemskich, czyta w myślach, zgina łyżeczki, zatrzymuje i puszcza w ruch — wedle życzenia — zegarki ręczne i ścienne. Dwaj młodzi naukowcy właśnie opublikowali w poważnym czasopiśmie naukowym Nature sprawozdanie z doświadczeń parapsychologicznych przeprowadzonych z Gellerem w laboratorium. Uznali je za wystarczający dowód, że rzeczywiście posiada on tajemną władzę nad materią. „Historia z Uri Gellerem coś w moim umyśle przelamała — mówi Girard. — Od tej pory mogłem demonstrować moje umiejętności publicznie”. Zaczyna urządzić więc pokazy w paryskich salonach.

Na nieszczęście dla niego żyje w społeczeństwie, które nie da się zwieść pozorom i które chce organizować swą wiedzę w sposób racjonalny, które, jednym słowem, wierzy w naukę. A co mówi nauka? Że góry same się nie przesuwają, że trzeba użyć obcęgow, by wygiąć kawałek metalu. Nauka nie wierzy w cuda, nie uznaje istnienia świata wiary.

Istnieje prosty sposób wyjścia z tego konfliktu — zignorować wiarę, a medium traktować jak oszusta. Takie stanowisko zajmuje Komitet Badań Naukowych nad tzw. Zjawiskami Paranormalnymi, utworzony w USA w maju 1976 r. Jeden z jego członków, James Randi, z zawodu iluzjonista, ostatecznie zdemaskował Uri Gellera, ujawnił jego wszystkie sztuczki, pokazał jak można wykorzystać naiwność dwóch badaczy, lepiej umiających rozpisywać przyrodę na fizyki, niż badać tajniki ludzkiej duszy.

A Jean Girard? Gwoli prawdy trzeba przyznać, że i on wyszedł pokonany ze starcia z Jamesem Randim. W 1977 r. Randi poddał go trzygodzinnej próbie w Grenoble. Podjęto wszystkie środki, by uniemożliwić jakiegokolwiek sztuczki — i niestety Girard nie był w stanie zademonstrować żadnych efektów swego daru. Od tej pory odmawia on spotkania z Randim. A ten twierdzi, że Girard jest tylko iluzjonistą.

Girard tłumaczy, że nie jest w stanie dowolnie dysponować swymi niezwykłymi zdolnościami. „Mogę to chyba najlepiej porównać do pożądania. Nie można go w sobie wzbudzić w dowolnej chwili. Niech pan się postawi w mojej sytuacji: poważni ludzie tracą czas, żeby mnie zobaczyć. Kiedy pojawia się prezes Akademii Nauk czy laureat Nobla, to człowiek mimo woli traci kontenans. Wszyscy czekają, że ja to zrobię, więc trzeba być świętym, żeby się nie skusić i nie pomóc palcem. Uri Geller, kiedy musi robić pokazy na zamówienie, musi oczywiście oszukiwać — ale to wcale nie znaczy, że jego moc jest wymysłem”.

Takie jest rozumowanie ludzi wiary: jeśli oszukują — to dla dobra sprawy. Jest też inny sposób rozwiązania konfliktu między wiarą a nauką — odrzucić wyrok nauki, potępić jej

nieustanną potrzebę zrozumienia i wytłumaczenia wszystkiego, jej niechęć do badania faktów, które naruszają jej prawa.

Charles Crussard, dyrektor naukowy koncernu chemicznego Pechiney-Ugine-Kuhlman jest znanym metaloznawcą. Wie wszystko co można wiedzieć o metalach, co jednak nie przeszkadza mu wierzyć w istnienie zjawisk paranormalnych.

„Sklaniałbym się ku twierdzeniu, że nasza znajomość świata jest jeszcze bardzo daleka od doskonałości, — oświadczył on w wywiadzie dla Science et avenir. — Na przykład nie odrzucam a priori takiego zjawiska, jak przekazywanie obcej materii. Dlatego z zainteresowaniem obejrzałem w TV występ Uri Gellera.

I stał się cud. Stosując się do instrukcji padających z ekranu, w myśl zaleceń medium, gładząc końcem palca kawałek miękkiego żelaza, zdołał go zgnać — odrobinę oczywiście, milimetr czy dwa, ale zgnać. Metal był profilowany, żeby go normalnie zgnać trzeba by było sporej siły, musiałby sobie z tego zdawać sprawę. Nie przygotował sobie niczego z góry, to żona dała mu pierwszy kawałek metalu, jak i wpadł jej w ręce. Sprawdzał natomiast przedtem, czy jest prosty, kładąc na szklanej płycie stolika — nie przestając zresztą śledzić audycji.

Niemniej udało mu się to tylko wtedy, mimo największych starań nigdy nie zdołał powtórzyć tego doświadczenia. Ale wiarę nie tak łatwo stracić. Dopadł osobie Uri Gellera, ale ten nie zgodził się zostać „królikiem doświadczalnym”. Crussard był więc szczęśliwy, gdy Jean-Pierre Girard zgodził się na doświadczenia naukowe. Ich rezultaty zostały niedawno opublikowane w jednym z fachowych czasopism poświęconych metaloznawstwu. W niektórych przypadkach, Crussard zaobserwował zmiany wewnętrznej struktury materiału. Pisał: „Zadnymi środkami, jakie mamy do dyspozycji, nie mogliśmy odtworzyć tych zmian strukturalnych, jakie zaszły w próbkach, na które oddziaływał Jean Pierre Girard. Ten jeden dowód, niezależny od warunków w jakich były prowadzone próby, potwierdza „anormalną” naturę efektów produkowanych przez Jean Pierre Girard”. Dlaczego nie wierzyć raczej jemu niż Jamesowi Randi, który, jak sam przyznaje, nie zna się w ogóle na strukturze metali?

Z tej prostej przyczyny, że nauka, inaczej niż to sobie wielu ludzi wyobraża, odrzuca wszelkie argumenty wynikające tylko z autorytetu. Głowa jest uznać za prawdę najbardziej nieprawdopodobne rzeczy, jeśli tylko uzyska niepodważalne dowody, na co nie brak przykładów. Kiedy Kopernik i Galileusz głosili, że Ziemia obiega Słońce, wydawało się to mniej prawdopodobnie niż dzisiejsze fantasmagorie Girarda. Przytoczyli oni jednak na poparcie swych twierdzeń obserwacje i obliczenia, które każdy mógł powtórzyć i których żaden teolog nie mógł negować.

Randi nie musiał się znać na metalurgii, ponieważ nikt mu nie kazał wypowiadać się na temat natury efektów Girarda. On miał tylko powiedzieć, czy dowody przedstawione przez Crussarda mogą być uważane za niezbitę, ponieważ żadne oszustwo w laboratoryjnych warunkach nie było możliwe. A przecież stwierdził on po zbadaniu, że oszustwa nie było. I sam Crussard w gruncie rzeczy się z nim dziś zgadza.

Cóż więc stwierdzamy? Girard dokonuje swoich cudów w laboratoriach Crussarda, w innych laboratoriach w Belgii, Anglii i w Niemczech, ale zawsze tylko tam, gdzie badacze są gotowi uwierzyć w ich prawdziwość. Natomiast kiedy staje oko w oko ze sceptykiem Randim, czy naukowcami, którzy mu z gruntu nie ufają, nie wychodzi mu nic.

Nauka więc, i ta oficjalna i nie, nie wypowiedziała się ostatecznie na temat efektów Girarda. Dla niej „efekty Girarda” po prostu nie istnieją. I będzie tak, dopóki Girard, czy Crussard, czy ktokolwiek inny, nie zdoła dostarczyć dostatecznie przekonujących dowodów.

Jeśli jednak nauka okopie się na obronnych pozycjach, to na pewno nie będzie miała ostatecznego słowa. Zamiast wypowiadać się na temat mniej lub bardziej cudownych przejawów wiary, powinna się zająć samą wiarą, powinna próbować wytłumaczyć, jak mały chłopiec może sobie wyobrazić, że przesunie górę i uwierzy w to tak silnie, żeby być przekonany, że mu się to rzeczywiście udaje — i jeszcze przekonać innych. Nie wydaje się, by nauka była do tego przygotowana.

## SZPALTA O SPORCIE

**R**OZKREĆCA się coraz bardziej sezon piłkarski. Mamy już za sobą kilka kolejek rozgrywek ekstraklasy i w nich wynik rzadko spotykany, bo aż 6:0 Ruchu z ŁKS-em. Mamy już też obu finalistów pucharu Polski Wisłę i Arkę, które w maju spotkają się w meczu finałowym i na boisku rozstrzygną, kto będzie reprezentował polskie piłkarstwo w rozgrywkach Pucharu Zdobywców Pucharów.

Największe jednak zainteresowanie wywołał mecz międzypaństwowy z Węgrami, który był ostatnią próbą reprezentacji przed spotkaniem eliminacyjnym mistrzostw Europy z NRD, zaplanowanym na 18 kwietnia w Lipsku. Mimo nienajlepszej pogody i wyniku remisowego gra naszego zespołu mogła się podobać. Dużo szybkich i ciekawych akcji w polu, szybkość poszczególnych zawodników, walka o piłkę na całym boisku — to atuty, które wykazuje nowy zespół reprezentacyjny. Wprawdzie z celnością strzałów jeszcze nie jest najlepiej, ale nadzieje na dobry mecz z NRD i korzystny wynik są.

W rozgrywkach eliminacyjnych mistrzostw Europy nie najlepiej wiedzie się piłkarzom RFN, jednej z najbardziej renomowanych drużyn naszego kontynentu. Po jesienim remisie ze słabą Maltą osiągnęli oni znów wynik bezbramkowy z nie najwyższą notowaną Turcją. Po dwu spotkaniach mają zdobyte dwa punkty i stosunek bramek 0:0 podczas gdy Walia — najbliższy ich przeciwnik — osiągnęła dwa zwycięstwa: z Turcją 1:0 i z Maltą 7:0.

Piłka ma najwięcej kibiców, ale największą liczbą uczestników mogą poszczycić się imprezy lekkoatletyczne, a przede wszystkim biegi przełajowe. Jest to już naprawdę sport dla zdrowia, osobistego zadowolenia uczestników, a jednocześnie, jak to przypominała ostatnio telewizja, kolebka przyszłych talentów i często pierwsze ich zetknięcie się ze sportem.

Po wielkich imprezach narciarskich dla wszystkich: biegach Piastów, Gwarków, Gąsieniców czy Hetmańskim, sezon wiosenno-letni rozpoczęła inauguracja Dni Olimpijczyka w Koszalinie. Obok innych imprez sportowych odbyła się tam pierwsza „Sportowa sztafeta pokoleń 35-lecia PRL”. W sześciu miejscowościach województwa odbył się start sztafety 21 tysięcy uczestników zakończyło ją w mieście wojewódzkim. Gdyby w każdym województwie w „sztafetach pokoleń” wzięło udział tylu zawodników, dałoby to około jednego miliona. Kto może pochwalić się taką liczbą uczestników jednej imprezy?

A stać nas na to. Popularyzowane przez TKKF biegi po zdrowie zdobywają coraz więcej zwolenników. Do świadomości ludzi, którzy już próbowali biegać, docierają korzyści wynikające z uprawiania sportu: smukła sylwetka, dobre ogólne samopoczucie, uodpornienie na przeziębienia i katar oraz wiele innych. Trzeba tylko przezwyciężyć nieuzasadniony głupi wstyd. Im więcej młodych i starszych ludzi będzie biegało, tym mniej będzie dziwiących się temu. A może nawet ci dziwiący się spóbiają sami dołączyć do grupki biegających.

Sportowa sztafeta pokoleń 35-lecia PRL zainaugurowana w Koszalinie swój punkt kulminacyjny osiągnie w naszym regionie. Będzie to w czasie Tygodnia Kultury Fizycznej na przełomie maja i czerwca i po raz drugi w lipcu przed Ogólnopolską Spartakiadą Młodzieży. Wtedy to uczestnicy sztafety będą biegli z Chełma, miasta w którym został ogłoszony Manifest PKWN, do Bydgoszczy i Torunia.

Niech te 21 tysięcy uczestników sztafety w Koszalińskim będzie zachętą i dopingiem do jeszcze leźniejszego udziału chełmian, zamocian i lublinian w sztafecie, do osobistej satysfakcji i dla własnego zdrowia, a także — zgodnie z jej nazwą — dla uczczenia 35 rocznicy powstania PRL.

**Z**ANONIMOWYM listem w kieszeni człowiek czuje się niezbyt pewnie. Idziesz przez wieś, spotykasz ludzi, których „okazyjny” żuk wysadził przed chwilą na skrzyżowaniu i na dobrą sprawę nie wiesz, kogo i o co pytać. Ale pytasz, bo w liście są podane nazwiska trzech osób, oczywiście żadna z nich nie jest jego autorem, a ludzie ci odpowiadają, że nie znają takich. Idziesz więc dalej i wiesz, że za chwilę spomiędzy lysych przedwiosennych drzew ukaże się budynek szkoły, czyli adres właściwy i wiesz, że nie możesz tam zajść, a w żadnym wypadku od razu i pozostaje szukanie po omacku. Diabli nadali taki anonim, którego rzetelność trzeba sprawdzić, bo donosi o skandalu; taki list, którego właściwym adresatom nie możesz pokazać.

W budzie warczy nadmiernie gospodarski pies. Jaki on się czuje ważny na swoim, ale nie wyłaził na zewnątrz, tylko wystawia zębata pysk. Boi się. Ciekawe, kto z nas ma większego stracha? Trzeba sforsować psią budę, gdyż drzwi domu w głębi podwórza to wyszperany sposobem adres jednego ze „znajomych” z anonimem. Będzie ich więcej, a że to uczniowie, więc faktycznie starsi mogli nie znać ich zbyt dokładnie.

Ale prezentacja postaci nie zostanie dokonana, co jest zabiegiem koniecznym, chociaż absurdalnym, gdyż sprawa głośna, a raczej cicha, lecz znana wsi powszechnie i „trzem gminom wokół” — jak powiedział ktoś z miejscowych. Sprawa dotyczy szkoły, anonim dotyczy szkoły, rozmowy reporterskie dotyczą szkoły — wszystko wokół te-

Studniówka. To jej dotyczył anonim, który mnie tu przywiódł. Przede wszystkim, że droga była. Ustalono składkę po tysiąc złotych od ucznia, czyli po pięćset od osoby, bo nikt nie przyszedł sam. Z osobnych funduszy komitetu rodzicielskiego przeznaczono siedem tysięcy na opłacenie zespołu muzycznego. Cóż to za przeboje musiał grać ten zespół importowany z Lublina, skoro taki drogi, a ponoć wziął zniżkowo? Jak chciał autor anonimów, uczniowie potwierdzają wysokość kwot. Drobne rozbieżności faktycznych kosztów z podanymi w liście nie grają roli. Natomiast bujda na resorach z ową „biedotą wiejską”, której nie stać było na opłacenie dzieciakom składki. Z kilkorga osób nieobecnych na studniówce tylko dla jednej byłoby to ewentualnie finansowym ciężarem.

— Zresztą, cóż to jest dziś na wsi tysiąc złotych — mówi jeden z chłopców, widać zna się, albo właśnie nie.

Tak, czy owak, wszyscy jednomyślnie twierdzą, że tysiąc złotych było kwotą z ambicji raczej wymyśloną, niż z potrzeb, bo moc dobra zostało na stołach i w kuchni, a organizatorom czterdzieści tysięcy w gotówce. Jeszcze się nie rozliczyli — informacja z anonimów się potwierdza.

— Za te pieniądze można było nie uczniowską zabawę ale huczne wesela urządzić — odpowiada konkretna w rachunkach dziewczynka.

Może i tak, skoro było tego dwadzieścia tysięcy od uczniów tylko.

Już w listopadzie zaczęli omawiać studniówkowy bal, dekoracje, korowód poloneza, sztywne stroje młodych pań, elegancję panów, zastawę

— Takie siki tu pijecie? Wracam do swojej sali. Ale z uczniami tańczyły. Kolo dwunastej w nocy było już wesoło.

Tylko kilka dziewcząt mogło mieć pretensje do swych partnerów, że za bardzo dają się w tańcu przyciskać młodym nauczycielkom. Ale przecież ścisłsk był, w salach ciasno, tłoczno. Nie przeszedł bowiem projekt wychowawczyni klasy maturalnej, by studniówkę zrobić w małym gronie prawie samych abiturientów, w tym momencie mało atrakcyjny, gdyż dziewcząt w klasie znaczna przewaga i z kim by się bawiły? Projekt przewidywał też absolutny brak alkoholu, najwyżej symboliczną lampkę wina, a w dalszej części składkę nie po tysiąc, lecz po pięćset złotych, co maturzyści byli w stanie zaakceptować, gdyby nie sprzeciw grupy dorosłych organizatorów.

Może więc dlatego, że było tłoczno, musiałby mnie zdziwić — gdybym oczywiście był na studniówce — obraz figl dwóch uczennic, który nawet trudno byłoby nazwać nadmiernym rozbawieniem. Wyjaśniono by mi, że to nie uczennice, lecz nauczycielki i że ich sympatie do przystojnych uczniów objawiły się nie na studniówce dopiero.

W tym momencie „donosy” z anonimów okazały się niewinnymi plotkami. Ejże, czy to aby prawda, co powiedzieli?

Prawda? W całej szkole huczy jak w ulu, a tu pytanie o prawdę. Zjemy w dwudziestym wieku. Ale teraz już są zażenowani, nie wiedzą, jak o tym opowiadać, brakuje słów. Co może się zrodzić w wyobraźni uczniów, którzy widzą, jak podczas wieczorków tanecznych w szkole, ot, choćby na ostatniej „choince”, pani nauczycielka gustuje w zabawie tylko z jednym uczniem? W końcu faworyt prosił kolegów, by go zastąpili. A czy nadmierna wyobraźnia kilkunastoletka wymyśliła owo zaproszenie ucznia do swego pokoju późnym wieczorem podczas wyjazdowego pobytu na zimowisku? A zachowanie innego nauczyciela, który podobno dosłownie węszy po zakamarkach za dziewczętami, umawia się z nimi na spacerki, na randki i składa jednoznaczne propozycje, by mieć okazję do podwyższenia stopnia, to czy nie pożywką dla plotek?

Ślucham ich i myślę, że jeśli w ten paskudny sposób chcą się „odgryźć” na nauczycielkach, no to przyznać trzeba, wymyślił wredną metodę. Ale jeśli nie koloryzują — opowieści na tamtych faktkach się nie skończyły — to skąd im się bierze chęć do takich wymysłów? Nie ma dymu bez ognia. Czy nauczyciele wiedzą, czy zdają sobie sprawę, co sądzą uczniowie o przekraczaniu przez nich subtelnych granic nieprovokacyjnych zachowań?

— A co na to wszystko dyrektor?  
— Udaje, że nie widzi, zresztą on dba o dobre imię szkoły — odpowiadają.  
— A wy sami co na to?  
— Jedni zdążyli przywyknąć, inni boją się cokolwiek powiedzieć głośno.  
— O wszystkich nauczycielach potraficie mówić tylko źle?  
Oburzyli się. Ich wychowawczyni to uczciwa

## Tropem anonimów

Bronisław Kowalski

go budynku za murem, który z pozoru odgradza enklawę, a naprawdę to wiadomo, co tam piszczy. Zgadalo się o uczciwości.

— Zjemy w dwudziestym wieku, a zadajesz takie pytania. Ale odpowiem ci: uważam, że nie warto być uczciwym. Uczciwemu jest źle z ludźmi, bo nigdy nie znajdzie zrozumienia.

Reszta patrzy na nią, słucha. Mileją. Przez ten moment jedno spogląda w okno, drugie na blat stołu, kto inny na swoje buty, ktoś na mnie patrzy w oczekiwaniu. Chwila nastąpiła niecierpliwa. Ona, powiedziała to, co pomyśleli. Chyba, że padnie zaprzeczenie, protest.

Jak w kiepskim komiksie: jej po młodzieńczemu gładka twarz pasuje do wzoru naiwności i niewinności dziewczęcej. Ale obu wyidealizowanych przymiotów próżno szukać, gdy konkluzje przerastają uczniowską swawolność, a fakty z niewinnością nie mają nic wspólnego. Zebrało się ich w sali dwanaścioro, mają po szesnaście, po dziewiętnaście lat, uczą się w jednym liceum, a ci starsi za kilka tygodni piszą prace maturalne.

Pięknie tu będzie w czas matury. Budynek liceum, leżący na skraju starego parku, pograży się w zieleni. Mgła świeżych liści przeniknie zalesione wzgórza wokół wsi, a z pól wydzwigną się lodygi zbóż. Sady napuszają się kwieciami. Zaś w głąb sal i korytarzy liceum słońce przepchnie się naturalnym ciepłem i rozgrzeje wreszcie mury, co nie udało się zimą kaloryferom — raz tylko oszalała z gorąca termometry wskazywały w klasach jedenaście stopni plus w skali Celsjusza.

Na razie jednak blade promienie południowego słońca ledwie są w stanie dotrzeć do zakamarków sali, w której narasta atmosfera konspiracji, aż wreszcie dwanaścioro młodych ludzi deklaruje jednogłośnie, by nie ujawniać ich nazwisk, ba — nawet imion. Wolą pozostać nierozpoznani. Tak, jak owa trzynasta osoba, która napisała anonim. Nie ma jej wśród nich, to prawie pewnie. Anonim jest ogólnodostępny, gdyż nie mam zamiaru chronić niepodpisanego autora, który z ujawnieniem się chce poczekać aż do czerwca. Jedna z dziewcząt odkłada kartkę listu i mówi:

— Ja bym też mogła napisać podobny anonim, ale również bym się nie podpisała.

Ktoś inny wyjaśnia:

— Tylko tak się mówi, że nauczyciele nie odgrzają się na uczniach za prywatne sprawy i że one nie mają wpływu na stopnie.

Jeden protestuje:

— To donos, nie wolno pisać czegoś podobnego, wszystko, co tu się dzieje, jest sprawą szkolną i w szkole powinno pozostać.

Ale wśród niewielkiej reprezentacji licealnej społeczności różne są na ten temat opinie.

A propos społeczności: jedno z ciał pedagogicznych wygłosiło kiedyś na lekcji, prosto z katedry, wymyśloną przez siebie systematykę uczniowskiej zbiorowości. Według owej koncepcji zbiorowość ta dzieli się na: dupy zwykłe, do kwadratu i do entej potęgi — w zależności od tego, czy przychodzą na lekcje z tej miejscowości, czy dojeżdżają, czy są z internatu. Zagadkowa idea. Tajemnicę jej powstania uczniowie rozwiązują z pogodą ducha, twierdząc o ciele, iż jest, powiedzmy łagodnie, nieodpowiedzialne tak, jak inne ciała chleje wodę, bo jest alkoholiem.

Na wspomnienie idei wesołość ogarnia nieliczne grono uczniowskie, choć sprawa kwalifikuje się do procesu o zniesławienie. Ale czym się tu smuć — deniero co była studniówka, niedługo matura, czas leci szybko, a z radia przeboje.

stołów, szampańską zabawę. Gdy wreszcie przyszła pora, uroczystość rozpoczęła się o godzinie osiemnastej. Na początku bez nauczycieli. Po godzinie zaczęły się niepokoje: przyjdą, czy nie? Posłano delegację, potem drugą. Ozdobione ściany studniówkowego w ten wieczór internatu czekały na dźwięki tradycyjnego poloneza. Gdy kolejna delegacja zaprosinowa wróciła z nikim, niepokój zaczął przeradzać się w popłoch. Aż wreszcie o dziewiątej wieczorem nadeszli mili goście i czas by zacząć poloneza.

Ach, więc tu leży źródło świętego oburzenia autora anonimów na skandaliczne zachowanie się grona pedagogów? No, fakt, takie spóźnienie, mogliście się poczuć obrażeni — kpię w żywe oczy. A oni nic. Patrzą na mnie i tak samo kpiąco uśmiechają się na powyższe wywody.

„Co takiego śmiesznego” — zastanawiam się, aż wreszcie „zaskakuję”: — Ktoś z nauczycieli poczuł się niepewnie po jakiejś ukrytej małej wódeczce?



Rys. Konrad Kozłowski

No i słyszę w odwecie zdrowy młodzieńczy śmiech. A potem już cała ósemka liczy na palcach: jeden, dwa, dwa, dwa, trzy i... i już. Tytuł zapamiętali nauczyciele, którzy pozostali do końca zabawy trzeźwi. Liczą jeszcze raz — jednego wyniesiono „sztywnego”, drugi „pawował”. Potem jeden ułożył się z woźnym na spanko na schodach wyjściowych. Obie najmłodsze nauczycielki też miały nieźle w czubie. Piły z dzbanków. Niby że lemoniadkę. Zasiadli w osobnej sali i to najbardziej brać uczniowską uraziło: dlaczego bawili się osobno?

Choć nie tak całkiem osobno. Przecież obie młode panie magister, jedna od języka, druga od ścisłych przedmiotów, bawiły się i z uczniami. Któraś z nich podeszła nawet do stołu młodzieży i próbując po „lemoniadce” kawy, powiedziała lekceważąco:

kobieta, kilku innych również, z tymi młodymi nauczycielkami także łatwo im się porozumieć, w końcu to niemal jedno pokolenie. Lecz są zdarzenia, które przekraczają pojemność uczniowskiej wyobraźni.

Wyjeżdżam ze wsi okazją, tak jak przyjechałem. Czerwona kula słońca spada na zachód. Zalesione wzgórza zostają z tyłu. Pięknie tu będzie w czas matury. Wiosna rozjarzy ogrody i pola. Do parku szkolnego może nawet przyleć słowiki.

Od redakcji: O jaką szkołę chodzi konkretnie — gotowi jesteśmy poinformować (na życzenie) jedno z kuratoriów naszego regionu.

Henryk J. Kozak

## LAMENT

Tak przyjacielu mijają  
lata za latami i nic  
z tego co nam obiecywała młodość  
nie spełnia się

Tylko oczy już nam smutnieją  
tylko strach w nas potężnieje  
i coraz dalej od głównej ulicy  
i coraz bliżej końcowy przystanek

Jan Górec-Rosiński

## PTAKI MĄDROŚCI

Z dłoni wylatują gołębie  
Gospodarzu nie chowaj ziaren  
z dłoni wylatują strzały  
Gospodarzu osłoń ból  
z dłoni wylatują pieśni  
Gospodarzu czemu w twojej izbie ciemno  
weź słońce i wędruj do oczu  
Gospodarzu przychodzi świt  
sny nasze budzą sowy  
dlatego nazywamy je ptakami  
mądrości.

Józef Pałka

## MIŁOWANIE

półnuta — północ  
cisza wieczornych pomruków  
do ucha  
kwadrans później  
budzi się wiatr  
śpiący w korzeniach pnia mózgu  
czerwienieje jutrenka wschodu  
to księżyc i gwiazda  
ćwierćnuta i ćwierćpausa  
dzwonek  
złota pszczoła oczekiwania  
dźwięczy w oczach  
nie mogąc trafić do barci  
a jeszcze jest szmer ptaków  
lopot chorągwi  
husaria  
tętent  
to samo od tysięcy  
trwa świat  
dobrze

## Lublinianin spoza Lublina

**D**NIA 21.IV.1979 r. maja 10 lat od śmierci Waldemara Babinicza — powieściopisarza, publicyisty, działacza kultury i oświaty.

Nie urodził się w Lublinie, nie brał udziału w życiu towarzysko-literackim lubelskiego środowiska, zaledwie ostatni rok jego życia związał go ściślej — jako mieszkańca Nałęczowa — z Lublinem. Jednakże jego nazwisko wciąż dawalo się słyszeć w kontekście literackich i kulturowych inicjatyw podejmowanych na naszym terenie. W latach 1960—1964, w okresie tzw. — unii czterech województw był członkiem komitetu redakcyjnego „Kamienia”; jej przedstawicielem na województwo kieleckie. Sam w tym piśmie zamieścił wiele artykułów publicystycznych, zawsze trafiających w nerw aktualności, zawsze nacechowanych ostrym widzeniem spraw dziejących się w kraju.

I rzecz osobliwa: ów kraj dla Babinicza leżał przede wszystkim w obrębie Polski B. tam, gdzie odziedziczone po okresie przedwojennym zaniedbania wołały o podjęcie pracy niemal na modłę pozytywistycznej organicznej. Nie zawsze rzucającej się w oczy, nie zawsze owocującej natychmiast widocznym rezultatem, ale potrzebnej i dającej rzeczywisty wkład w dzieło podnoszenia oświaty, kultury, materialnych warunków życia i społecznego współżycia.

Takim właśnie widziało się Babinicza jako dyrektora Uniwersytetu Ludowego w Rożnicy. Instytucja ta miała coś z inicjatywy Przełęckiego, który w „Przebiegach” zakładał oświatowe kursy wakacyjne. Z tym, że mecenasem nie była kapryśna księżna Sieniawianka, lecz państwo. Rożnica rychło stała się centrum ruchu również literackiego. Czytelnik lubelski pamięta kielecką poetycką grupę „Poniedziałek”, która w „Kamieniu” często reprezentowała swoje utwory.

Nie można pominąć tych spraw, kiedy się mówi o Waldemarze Babiniczu jako pisarzu, publicyście: felietoniste. Jego powieści („Ekipa”, „Szeroki świat”, „Ludzie to powiedzieli”), zbiory opowiadań („Przygoda w świetlicy”, „Za ścianą”, „Zaczarowane laski”), czy felietonów („Listy z parafii”, „O babkach, nugatach i dziwnej antyfonii”) zawsze mają ścisły związek z konkretnym życiem: z sobą bezpośrednich doświadczeń pisarza. Można je potraktować nawet jako dokument czasu, czasu pełnego napięć, starć, walki o nowe postawy intelektualne i moralne — do tego stopnia, że pisarstwo Babinicza sekunduje aktualnościom jego życia. Zdumiewa też perspektywa babiniczowego widzenia. Ten beletrystyczny kronikarz prowincji, nawet niekiedy zaścianka, prowincjonalny ani zaściankowy nigdy nie był. Umiał zachować kryteria



Wrzesień 1962 r. Prof. Czekanowski i W. Babinicz w Łańcucie

Ze zbiorów redakcyjnych

nakazujące postulat postępu, formujące krytyczne stanowisko wobec niedorozwoju, obojętności, kulturowej i społecznej abnegacji.

Było to więc piśmiarstwo interwencyjne. Stąd zawierając zresztą tyle kultury literackiej nie mogło być manifestacją jedynie sprawności pióra jako narzędzia. Miało nałożony na siebie obowiązek przydatności w określonym środowisku. Dlatego znajdowało czytelników. Książki Babinicza nie obciążały półek księgarskich. Rozchodziły się szybko, wywoływały żywy odzew zarówno wśród mieszkańców małych miasteczek, jak i krytyków stołecznych. Babinicz pisał dużo. Przez 15 lat 70-letniżek to bilans mówiący sam za siebie. Jeszcze niedawno widzieliśmy w witrynach księgarskich „Prawo wyboru”, wydane ileż lat po śmierci autora.

Jak wspomniano, nie był rdzennym lublinianinem. Ale jego znajomości prywatne utrzymywane z ludźmi lubelskiego środowiska, a także pokrewieństwo w charakterze kulturowym między Lubelszczyzną a Kielecczyzną i wynikające stąd współdziałania spowodowały, że dnia 21.IV.1969 r., pożegnaliśmy kogoś bliskiego, kogoś niemal z naszego grona. Natomiast zawsze mamy i będziemy mieli do czynienia z Babiniczem — rapsodem polskiej wsi i polskiego małego miasteczka. Z Babiniczem interesującym, potrzebnym i żywym.

Z. M.

## Z DZIEJÓW AKADEMII BIALSKIEJ

Kazimiera Pyrka

**T**RADYCJE kulturalne Białej na Podlasiu sięgają swym początkiem XVI wieku, kiedy na tronie polskim w latach 1548—1572 zasiadał Zygmunt August, ostatni król z rodu Jagiellonów.

Biała była wówczas ożywionym ośrodkiem ruchu reformatorskiego. Istniał tu zbor kalwiński oraz specjalna szkoła, kierowana przez wybitnych przedstawicieli reformacji w Polsce: Jana Falkoniusza i Hieronima Piekarskiego.

Akademia Bialska była kolonią Uniwersytetu Krakowskiego. Działalność swą rozpoczęła dopiero w 1631 roku, zaś ordynacje zatwierdzone zostały przez Uniwersytet Krakowski w roku 1640. Pomnożył jej uposażenie ówczes-

ny dziedzic miasteczka Aleksander Ludwik Radziwiłł. Obiecał on rozdać zasłużonym profesorom probostwa. Również w celu zwiększenia dochodów projektowano włączyć pod zarząd szkoły okoliczne probostwa. Do tego jednak nie doszło. Natomiast spadek wartości pieniądza — a tym samym obniżenie dochodów Akademii — spowodował, że liczbę wykładowców ustalono na czterech: wykładowca filozofii, retoryki, poezji i składni oraz gramatyki.

Założyciel Akademii, ksiądz Wilski-Ciborowicz, zapisał jej 49 753 złp. i obszerne lokale murowane; sprowadził z Krakowa profesorów. Erekcję i uposażenie Akademii zatwierdził biskup Gębicki w roku 1639, a odbywający się w Janowie synod diecezji łuckiej uznał, że „fundacja ta jest sprawiedliwą, stałą, a ma trwać na wieczność”. Ofiarny ten czyn ksiądz Ciborowicz

czym wydzwignął Białą ponad poziom innych miast. Akademia promieniowała kulturą i nauką na wschodnich rubieżach kraju, zyskując miastu chlubię miano „Podlaskich Aten”. Radziwiłłowie dumni, że mają Akademię, nie żalowali jej przywilejów. Gościli oni często na zamku rektora i profesorów.

Pierwszym rektorem był od 1631 roku Roszczewicz, który przybył do Białej z Krakowa. Duże zasługi jako następcę i kontynuator dzieła założyciela położył proboszcz bialski — ksiądz Maciej Drwęski. On to uzyskał od Akademii Krakowskiej trwałe i znaczne przywileje.

Akademia w poczet swoich uczniów przyjmowała nie tylko dzieci szlachty. Językami wykładowymi był język łaciński i polski. Wykładano tam: filozofię, retorykę, poezję, składnię i gramatykę. Uczono również niemieckiego

i francuskiego. Kurs filozoficzny trwał trzy lata po trzy godziny dziennie. Inne przedmioty prowadzono przez dwa lata. Nie prowadzono wykładów prawa pomimo projektu ich wprowadzenia.

Kolonia akademicka w Białej miała dość duży zbiór książek, zgromadzonych z darów Radziwiłłów lub z legatów zmarłych przy szkole profesorów.

Akademia Bialska nie uzyskała jednak świetności zamierzonej przez jej założyciela księdza Wilskiego. Do ustanowienia kolegiaty nie doszło. Dość szczupły fundusz oraz niedbalstwo i opieszałość egzekutorów testamentu, zaniedbanie przez nich wielu spraw ważnych dotyczących Akademii sprawiło, że losy jej przez wieki kształtowały się bardzo różnie. Ksiądz Aleksander Ludwik Radziwiłł mimo olbrzymich finansowych możliwości niewiele zrobił dla Akademii.

Sytuacja polityczna drugiej połowy XVII wieku nie sprzyjała rozwojowi kultury i oświaty w Polsce. Podczas wojen ze Szwecją Biała nie będąc ważnym punktem strategicznym, nie była broniona przez wojska Radziwiłłów. Szwedzi mogli więc bezkarnie ją niszczyć.

Okresem rozkwitu dla Białej, a równocześnie dla Akademii było panowanie w Białej Katarzyny z Sobieskich







# LUBELSKA WIOSNA 1919

Dokończenie ze str. 1

Nie wszystko jednak „Kalendarz” tak dokładnie potrafił przewidzieć.

Pisząc na początku października 1918 r. podsumowanie mijającego roku autor stwierdzał:

Mamy za sobą jedno z tych lat wielkiej europejskiej wojny, które zapaliły świat cały krwawą pożogą wojennej zawieruchy, pogrążając go w upiorny odmet najcięższych doświadczeń i gorzkiej bolesnej niedoli. [...] A w tym piekielnym odmiecie wielkiej, orężnej rozprawy narodów — Polska, rozdarta przez rozbiory, pokrajana krwawymi pręgami korodów — wtłoczona między walczące kolosy, cierpi [...] i dlonie tęsknie wyściaga ku tej świetlistej, cudnej zjawie przyszłości, co mówi, iż oto z męki i krwawego zamętu [...] zrodzi się wolność i był samodzielną narodem. [...] Coraz powszechniejszym na szerokim świecie staje się zrozumienie i uznanie polskiego prawa do odbudowy własnego, samodzielnego państwa. W Kraju, jako symbol tego prawa, zablysła znowu przed oczami ludów Europy reprezentacja strząskanej przed pół wiekiem Korony Polskiej — Najdostojniejsza Rada Regencyjna [...] Te krótkie uwagi o roku minionym zamknąć możemy słowami otuchy i pewności, iż rok następny, a może nawet już dni, tygodnie czy miesiące najbliższe przyniosą światu całemu błogosławieństwo pokoju a umęczonemu Polsce triumf tej wiekowej, nieśmiertelnej idei: odbudowę wielkiego, samodzielnego Państwa Polskiego.

I to było przewidywanie słuszne. Już w miesiąc później, właśnie w Lublinie, w nocy z 6 na 7 listopada, powstał pierwszy polski rząd ludowy z Ignacym Daszyńskim na czele. Lecz nie o takim rządzie myśleli — zresztą przecież pełni uczuć patriotycznych — redaktorzy i wydawcy „Kalendarza Lubelskiego”. To właśnie tutaj, w Lublinie, u samego zalążka tworzącej się polskiej państwowości, najwcześniej w budzącym się do życia kraju, miało się uwidocznić, że ze słowem „niepodległość” mogą różne klasy kojarzyć sobie nie te same poglądy i nadzieje.

„Najdostojniejsza” Rada Regencyjna zakończyła wkrótce swój żywot. Rząd Daszyńskiego został szybko zastąpiony ukonstytuowanym w Warszawie rządem Jędrzeja Moraczewskiego. 16 stycznia 1919 r. Naczelnik Państwa, Józef Piłsudski, mianował premierem Ignacego Paderewskiego, rząd rozpoczął akcję przeciw ruchowi rewolucyjnemu: 18 stycznia zlikwidowano ukazujący się legalnie „Sztandar Socjalizmu”, organ powstałej przed miesiącem Komunistycznej Partii Robotniczej Polski, sama partia musiała przejść do działalności konspiracyjnej. Dopiero w październiku miał się ukazać pierwszy numer „Czerwonego Sztandaru”. W samym zaś Lublinie, choć stał on teraz znów z dala od głównego nurtu życia politycznego, trwała walka pomiędzy przedstawicielami obozu zachowawczego a siłami postępowymi, broniła swej pozycji Lubelska Rada Delegatów Robotniczych.

Miejscowe gazety przepełnione były wiadomościami politycznymi ze świata, przede wszystkim tymi, które dotyczyły przeszłości Polski i jej granic. Od 18 stycznia toczyła się Konferencja Pokojowa w Paryżu, w jejdenaście dni po jej rozpoczęciu Roman Dmowski przedstawił tądania terytorialne Polaków. Wybuchło Powstanie Wielkopolskie. Nabrzmiewała sytuacja na Śląsku. Na wschodzie trwał konflikt (brojny z oddziałami Armii Czerwonej) oraz z wojskami Ukrainy Naddnieprzańskiej dowodzonymi przez atamana Petlurę, które zresztą biły się również z czerwonoarmistami. W Lublinie można było o tym przeczytać w narodowej „Ziemi Lubelskiej” i „Głosie Lubelskim” o takiej samej orientacji, lub w ra-

dykalnym „Dzienniku Lubelskim”, piśmie PPS, który jednak z utęgo musiał zawiesić swoją działalność co z ogromną satysfakcją odnotowała „Ziemia Lubelska”. Zniszczona została w Lublinie redakcja wydawnictwa „Ruch Komunistyczny” i od tego czasu tylko pokątnie — jak podawała prasa legalna — zjawiali się w Lublinie numery wydawnictwa „Ruch Komunistyczny” jako signum temporis. Stowarzyszenie Robotników Chrześcijańskich komentowało w wydawanym przez siebie w Lublinie „Robotniku” zachodzące wydarzenia ze swego punktu widzenia, a ze swego znowu — ludowa „Nowa Jutrzenka” redagowana przez księdza A. Kwiatkowskiego z Bychawy. Tygodnik satyryczno-humorystyczny „Śmiech” wydawany od 1919 r. przez Franciszka Głowińskiego, szydził na ogół w niewybredny sposób z „socjalów”, „bolzewików” i Żydów, a twórczość „niezangażowana” kształtowała się w nim na takim oto mniej więcej poziomie, jak np. wierszyk zamieszczony w numerze 12:

Wojtek stanął przed komisją,  
Niespokojnie wzrokiem goni,  
Włęcz go pyta pan oficer:  
„No, do jakiej chciałbyś broni?”



„Teatr Wielki przy Namieśnikowskiej, róg Kapucyńskiej...”. Dziś Teatr im. J. Osterwy

Fot. Archiwum

„Czy do armii czy do gwerów?”  
Na to Wojtek (sztućca lisa),  
Odpowiedział „Hę... do Broni!”  
Kiedy major jest — Marysta!

Przypominało to stylem twórczość batalionowych wierszokletów, którzy w owych latach zapelniali szpalty piśmiem wojskowych; utwory w rodzaju „Oświadczyń stolarza”:

Marysta przujm — tak pokost — mých  
Tę biała czysta, miękka, jak deska lipowa,  
Kiedy ciebie poznałem czarodziejko luba,  
Serce moje trisłona miłość wki, wruba,  
I przygłonełem do ciebie jak stolarzki  
Kłajster —  
A ty mnie tak katusiesz jak chłopaka  
majster,  
A ja ciągle o tobie marzę mój motyłu...  
Boś ty piękna jak... tilla w rakokonyim  
stylu.  
Ja ci miłość przystępnę przed Bogiem  
i światem;  
Przysięgam: beztęsz mi odtąd moim  
Najmilszym warzstajem.

Ale to były, oczywiście, marginalki. Z upływem tygodni w lubelskich piśmiach zachowawczych coraz mocniej nasilała się wroga nuta wobec sił postępowych.

Jednocześnie jednak w Lublinie trwał karnawał. A z nadejściem Wielkiego Postu wcale nie opadała — o tych, którzy mogli sobie na to pozwolić — i chęć dobrej zabawy. Mając odpowiedni grosz w kieszeni, mogli rano wyruszyć spod Bramy Krakowskiej ku Krakowskiemu Przedmieściu, i spędzić na tej ulicy cały boży dzień ku satysfakcji łucha i żołądka.

Zaczynała w restauracji Banaszka na Placu Króla Łokietka 3 róg Koźiej zdrowym smacznym smadaniem po rene bardzo przystępnej. Potem wchodziła w Krakowskie Przedmieście. Mijało się zaraz na wstępie po prawej stronie obok kościoła Św. Ducha, „Magazyn Jubilerski” i Skład Wyrobów Platowanych oraz Zegarków Genewskich. A Kalkiego (sklep jubilerski) miesi się tutaj do dzisiaj) i szło 12 pod numer 38 do zakładu fryzjerskiego „Edwarda” obok Banku Łódzkiego, aby przystrzyć włosy i wypomadać zabolczy wąsik. Tamże oferowano: brzytwy wypróbowanej dobroci, mydła toaletowe, szpilki itp. Ceny były stałe, czystość uroznożona. Potem...

Potem można było znów wstąpić na przekąskę do Zagóżdżona przy Kapucyńskiej 5, do Dlubaka w hotelu „Victoria”, lub do „Versalu” przy ulicy Szpitalnej (obecnie: Pstrowskiego, restauracja — „Pod Karasiem”), gdzie właściciel, pan Franciszek Malecki proponował zakąski zimne i gorące, trunki krajowe i zagraniczne a wieczorem: kabaret i — gabinety. To samo proponowała restauracja „Belle-vue” przy Krakowskim Przedmieściu 36, a przy tej samej ulicy, pod numerem 32, tam gdzie dzisiaj stowarzyszenia twórcze mają klub „Nora”, właściciel, pan Zwoliński, zapraszał do restauracji pierwszego rzędu pod

Przedmieściu 23. Wśród „wyboru wielkiego” książek „złoty” — (zobacz treści) nowych i używanych: set ołówków, atramentów, globusów szkolnych, atlasów geograficznych,ówek, laubzeg, pocztówek oraz rozkazy filatelistów: „składu marek wszechświatowych” — istniał również dział oferujący godła narodowe: orzełki, sztuki, chorągiewki, obrazy o treści patriotycznej itp.

Uczucia kulturalne? Proszę bardzo: 8 kino-teatrów z eleganckim „Corso” na czele przy ul. Radziwiłłowskiej, wieczorem — przedstawienie w Teatrze Wielkim przy Namieśnikowskiej, róg Kapucyńskiej Troche. Tam na jego poziom utyskiwano „Lekka msta wojenna lat poprzednich” — (zobacz ówczesny dziennikarz — stała się strasną powieścią niewybredną publiczności [...]) Obniżenie poziomu artystycznego uauca od teatru wykazującej publiczność. Dlatego też coraz częściej podnosiły się głosy o potrzebie „umiastowienia” teatru, aby podnieść jego poziom. Tłumnie za to zbierała się pewna kategoria publiczności w miejscowych kinematografach, które z wyświetlanymi obrazami o treści najczęściej sensacyjnej i drastycznej, łączyły różne popisy artystyczne, muzyczne lub lekkiej muzy teatralnej.

Wobec tego — do „Wesołego Ula”, kabaretu nocnego! Tu, wśród respołu prowadzonego przez artystę scen warszawskich, J. Sarneckiego występowała i podbijała serca widzów, młodzianka tancerka, szesnastoletnia Ania Ordon... Tak taki — później — słynna Hanka Ordonówna! Uciekla do Lublina po blamażu w warszawskim kabarecie „Sfinks” jesienią poprzedniego roku, gdy spróbowała swoich sił jako piosenkarka w programie: „W naszej kochanej Warszawie”.

nazwą „Renaissance”. Istotnie można się było tam prawdziwie „odrodzić” — przy dźwiękach koncertującej codziennie od godz. 8 do 12 wieczorem, orkiestry damskiej... Cukiernia „Stefania” w hotelu „Victoria” polecała „cukry”, czekolady i duży wybór bombonierek a cukierki i landryny „Buzi dać”, proponowała firma G. Pruszkowski i W. Szubartowski przy Krakowskim Przedmieściu 52, obok poczty.

Zakupy na zbliżające się Święta? Proszę bardzo: Skład Win, Towarów Kolonialnych i Delikatesów — W. Ignaszewskiego przy tejże ulicy pod numerem 46, dwunastym (wina węgierskie: wytrawne i maślacze, wina francuskie, hiszpańskie, portugalskie, krymskie, piwo — pilzneńskie, bawarskie, lagrowe...). To samo: w delikatesach Z. Romanowskiego pod numerem 46, róg Tadeusza Kościuszki.

Uczucia patriotyczne można było zaspokoić w księgarni — antykwariacie J. Cholewińskiego w gmachu hotelu „Angielskiego” przy Krakowskim

Tymczasem jednak prasa — nawet ta jak najbardziej legalna — podawała miejscowe wieści ukazujące odwrotną stronę medalu, niż ta, z Krakowskiego Przedmieścia.

W numerze z 5 kwietnia „Ziemia Lubelska” pisała w artykule pod tytułem — „Czemu tak tajemniczo?": W tych dniach na stację Lublin nadeszła duża ilość wagonów z towarami amerykańskimi a zwłaszcza z tłuszczami. O nadejściu do Lublina tak pożądanym dla ludności miejskiej artykułów spożywczych Wydział Apro-wizacyjny nie pośpieszył dotąd powiadomić ogółu. Czemu? [...] Tajemniczość, z jaką nasze władze apro-wizacyjne traktują tę sprawę, powoduje różne domysły, obawy i plotki.

Już poprzedniego dnia rozpoczął się strajk lubelskich kolejarzy. Wypłacano im tylko połowę poborów. Kiedy znaleźli na stacji wagon słoniny rozdzielili jego zawartość między siebie, jako rodzaj rekompensaty. A głów-



nie dlatego, że trudność aprowizacyjną a miejsce zora: się zwiększały godzinie przede wszystkim w Niemczech na ludność. Były starcia z policją następnego dnia - nawet z wojskiem.

W lutym, w czasie wyborów do lubelskiej Rady Miejskiej doszło do rozdziewięciu wśród ugrupowań politycznych, na pierwszym posiedzeniu Rady 13 marca - do ostrej walki politycznej w tonie zgromadzenia. Po ogłoszeniu przez rząd w marcu stanu wyjątkowego w Lubelskiem i Zaglebiu Rady Delegatów Robotniczych, w tym - oczywiście - i Lubelska RDR proklamowały strajk protestacyjny 12 marca na wezwanie Komitetu Wykonawczego Lubelskiej Rady Delegatów Robotniczych 5 tysięcy osób spotkały się na Placu Bychawskim; ruszył pochód do śródmieścia. Również w marcu wybuchł strajk pracowników służby miejskiej; urzędników miejskich Nieczynnie było przygotowanie ratunkowe straż pożarna nie wyjeżdżała do pożarów. Na wypadek wprowadzenia do akcji lamajstrajków strażnicy zdjęli koła od wozów bojowych i sikawek. Domagano się podwyżek i w końcu Rada Miejska musiała je przyznać. W niedzielę, 30 marca, odbył się w Lublinie IV Zjazd robotników rolnych Ziemi Lubelskiej. Uczestniczyło w nim przeszło czterech i pół tysiąca delegatów reprezentujących 12 powiatów, w których trwał powszechny strajk rolny. Wśród wniosków Zjazdu pierwszy brzmiał następująco:

Wobec tego, że wszelkie usiłowania Komisji Rozjemczej robotników rolnych, aby dojść do porozumienia z przedstawicielami Związku Ziemi w sprawie zadań służby folwarcznej nie doprowadziły do żadnego wyniku - czwarty Zjazd robotników rolnych Ziemi Lubelskiej postanawia strajk prowadzić dotąd, aż upór obzarników zostanie złamany nieugiętą postawą proletariatu rolnego (...). Po zakończeniu Zjazdu, opuszczono salę śpiewając „Czerwony Sztandar”

Warto tutaj dodać, że w Lublinie powstała, jako jedyna w kraju - Rada Delegatów Robotników Folwarcznych.

Im bliżej Wielkanocy, tym więcej w życiu politycznym wewnątrz krajowym i zagranicznym zachodziło wątków dla Polski wydarzeń 26 stycznia wybory do Sejmu, 10 lutego - otwarcie pierwszej sesji Sejmu; w dziesięć dni później - Sejm uchwalił tzw. „Małą Konstytucję”. 3 marca 1919 r. Komitet Narodowy Polski przekazał Komisji Cambona notę w sprawie polskich granic wschodnich, 19 marca Lloyd George zakwestionował m. in. przyznanie Polsce Gdańska. Od 6 kwietnia w paryskiej konferencji brał udział także Ignacy Paderewski. Jeszcze daleko było do podpisania traktatu pokojowego z Niemcami - fakt ten nastąpił dopiero 28 czerwca, w Wersalu. W kraju oczekiwano 7 dnia na dzień przybycia 80-tysięcznej armii gen. Józefa Hallera...

Lubelska wiosna 1919 r. tak jak cała polska wiosna owego roku, przebiegała wśród chmur, chłodnych wiatrów, i uderzających tu i ówdzie grzmotów. Wyjście z półtorawiecznej zimy nie było łatwe.

Działy też w Lublinie w tych miesiącach liczne instytucje kulturalne i społeczne - byli też ludzie którzy (może czasem nawet trochę naiwnie, ale wszak szczerze) stawiali ponad wszystko sprawę sztuki; chronienia pielęgnowanej przez sto pięćdziesiąt ostatnich lat - wbrew wszystkim przeciwnościom - kultury narodowej. Owi „pięknoduchowie” tak - choćby - związany przez całe życie Lublinem niedawno zmarły, prof. Wiktor Ziolkowski, wówczas przed laty „lubelski młody, znany malarz” który w zamieszonym przez gazetę w numerze wielkanocnym liście pisał: [...] Przeto ośmieliłem się poruszyć w „Ziemi” sprawę urządzenia w Lublinie wystawy [...] poświęconej odtworzeniu architektury naszego miasta w plastyce. Mam na myśli specjalnie dwa cykle dzieł a mianowicie prof. L. Wysockiego i Jana Gumowskiego „Stary Lublin”. Zestawienie tych prac miałyby raczej bytu: wysnuwaloby szereg myśli plastycznych oraz zilustrowałoby urażenie, które wywołuje piękno naszego grodu w duszach polskich artystów. [...]

Co się zaś tyczy prognozy „Kalendarza Lubelskiego” to jedna rzecz się sprawdziła bez wszelkiej wątpliwości: 21 kwietnia, w dzień tradycyjnego dyngusa, spadł po południu w Lublinie obfity deszcz.

Mirosław Derecki

35 LAT I JA

## Nie powiedziałem jeszcze pas...

Bolesław Resch



**W** PIERWSZE dni wolności wszedłem jako 28-letni, dojrzały człowiek, uczestnik walki o wyzwolenie Ojczyzny - w konspiracji a następnie jako oficer Ludowego Wojska Polskiego - a więc ze sporym zapasem przeżyć i życiowego doświadczenia.

Dzisiaj 35-lecie witam jako emeryt. Łatwo obliczyć 100-letni, Codzienna praca, nawet dobrowolnie na siebie przyjmowanych obowiązków społecznych, nie pozostawiłby zbyt wiele czasu na samoocenę. Dodatkowo utrudnił ją fakt że w mojej działalności społecznej główny wysiłek kierowałem na pracę kulturalno-oświatową, ze szczególnym

uwzględnieniem spraw związanych z amatorskim ruchem artystycznym. Wiadomo, że na efekty w tej dziedzinie często trzeba czekać bardzo długo a i oceny ich uzależnione bywają od wielu punktów widzenia. Błędy kierującego moje zainteresowania, a następnie zaangażowania, na działalność kulturalną połąknałem jeszcze w latach „szczenińczy”. Noszę go nadal i w tej dziedzinie nie myślę wcale o emeryturze.

Spróbuję więc odpowiedzieć na zadane pytanie przynajmniej w tej części mojego życiorysu.

Kilkadziesiąt (ponad 35) lat trwająca i w rozmaitych okolicznościach i formach prowadzona

przez mnie działalność kulturalna nie była wolna od szeregu niepowodzeń, może i niewypałów, ale kłnę się na muzykę z Melpomeną na czele, że zawsze kierowałem się najlepszymi, choć może czasem nie-realnymi (finanse, baza itp.) intencjami. W pracy tej zarówno w czasie służby w LWP, w cywilu na stanowisku kierownika Wydziału Kultury PMRN, następnie dyrektora oddziału lubelskiego Pracowni Sztuk Plastycznych, a w ruchu amatorskim jako instruktor teatralny kat. „S” oraz w działalności organizatorskiej w Towarzystwie Kultury Teatralnej, miałem możliwość przeżycia wielu wspaniałych, niepowtarzalnych przygód artystycznych, zaznania osobistych satysfakcji i zadowolenia, wynikającego z okazywanych mi dowodów uznania, poznania wspaniałych ludzi i nawiązania autentycznych, wypróbowanych przyjaźni. W sumie - pasja życiowa cudownie odplacona niepowtarzalnymi przeżyciami, dziwnie oczyszczającymi i odmładzającymi...

Nie można też pominąć satysfakcji z poczucia, drobnego wprowadzenia ale chyba w efektach znaczącego współdziałania w ogólnonarodowym budowaniu naszej ojczyzny kultury. Stop! W tej ostatniej materii mam nieodparte uczucie, że udział ten jest jeszcze stanowczo za mały. Ale nie powiedziałem jeszcze pas.

## WIERZSE WARŁAMA SZALAMOWA

w przekładzie Marii Bechczyc-Rudnickiej

### KAMEA

Na skłonie gór, na schyłku siły,  
w kamieniu portret twój wyręłem.

Obuchu cios, cięcie topora  
pewniejsze od kruchego pióra.

Do kroju lodów, ziemi męczyn,  
niewczesnych zmarszczek sieci gęstszej,

z rozpaczą żeńskie rysy do mnie  
przywoływałem nadaremnie.

Skalę z zarysem twojej głowy  
wprawiłem w pierścień z zasp śniegowych

i by nie dręczyć się tęsknotą,  
ukryłem pierścień mój w obłokach.

### WALC PUSZKINOWSKI DLA SZTUBAKÓW

Czemu go ujarzmiła  
Natalii czar siła,  
czemu tak kocha wyższy świat!

Gdyby mu sekundantem  
był Szekspir albo Dante,  
Dantesę wystrzał czyżby padł!

Dlaczego słońce w zmowie  
z dynastią Romanowych,  
dlaczego się rozprasza mgła!

Czemu zamieć nie miecie  
na pojedynku mecie  
wznosząc przed celem śnieginy wały!

Czemu brak mi try słusznej?  
Ludzie są małoduszni,  
Apollo niechby przybyć mógł!

Zażądał tu poety -  
świata ofiary świętej,  
nie on, nie on, poetów bóg.

Nie utrwalając trudem pióra  
tego co było zda si. wczoraj,  
myślałem: w chwili pierwszej lepszej  
wszystko odtworzyć zdołam wierszem,

pozostał w duszy niezniszczalny ślad,  
zapasu czuć starczy na sto lat.  
Wiem, już sposobna pora blisko,  
jak okiem ujrzę znowu wszystko.

Lecz przeszłość legła pod stopami -  
piasek prze. oalce przesypany.  
I oto żywe kiedyś sprawy  
ruina są porosłą trawą.

Poeta radziecki WARŁAM SZALAMOW urodził się w Wologdzie, obecnie mieszka w Moskwie. Podane wiersze pochodzą ze zbioru „PUNKT WRZENIA” („Toczka kipienija”), Moskwa 1977, na który natrafiałem w bibliotece jałtańskiego Domu Pracy Twórczej Związku Pisarzy Radzieckich.

M. B.-R.

Dzikuska była moja matka,  
była kucharką i fantastką.

Zaledwie kogo dziś poznała -  
aniołem się w jej oczach stawał.

Ze cicho żyła w czasie onym,  
bala się mama telefonu.

Ichu jej, biadactwu, brakowało,  
gdy przez telefon mówić miała.

Znochorką moja matka była,  
co w nieomylną wróżb wierzyła,

wzywała mama dobre moce -  
dobre wzywała do pomocy.

Jak Chrystus - z kurzu długiej drogi  
omyłem mojej matce nogi.

poczuła się zażenowana -  
nie była bohaterką dramy.

Pół kuli ziemskiej przemierzyła  
i z domu już nie wychodziła,

przed samym progiem się cofała,  
tak się ludzkie fałszu bala.

Mej mamy świat był bardzo ciasny,  
bardzo rosyjski świat, jej własny.

Lecz, choć ją przygarbiły lata,  
dach zapadłego w gruzy świata

podtrzymała mama potrafiła,  
prostując go o własnych siłach.

Samsona dzieła dokonała,  
zanim do grobu legła mama.

Wyższego była od nas wzrostu  
z upartym kęgosłupem prostym,

gdy grzbiet deskami trumiennymi  
zrównała, troski zbywszy ziemi.

Zawdzięczam wiersze moje mamie,  
z tymi stromymi ich brzegami,

z rozwartą w nich otchłoną gwiazdną,  
z krzywą męką w gwiazdnym bezdniu.



# ZIEMIA I PIEŚŃ

KOLUMNY POŚWIĘCONE TWÓRCZOŚCI LUDOWEJ

## WIELKANOC

Stefan Sidoruk

(Stawki, woj. chełmskie)

ZBLIŻAŁY się święta wielkanocne. Jakaś radość tajemna przenikała ludzkie serca i umysły, szła z chaty do chaty wraz z tymi cieplejszymi, rozslonecznionymi, a pachnącymi wiosną dniami. Ponieważ z gospodarzy, nie mając jak to na przedwiośni pilniejszej roboty w obejściu, zachodził do chlewika, gdzie stał podkarmiony wieprzak i obmacywał go ze znanostwem ze wszystkich stron, czy już dość mu sadła pod skórą przyrosło na to świąteczne świńobicie, zaś gospodynie baczniej pojechały śledzić kury, gdzie się noszą i odkładać po tych kilka jaj na kraszanki dla dzieciaków i dorosłych. A dziewczuchy, jak to dziewczuchy, biegały po zamrozkach, ta do tej, tamta do innej, chichotały po kątach, jak te głupie, a gdy i to im się w końcu sprzyrzyło, brały się do ocierania lupin z cebuli, lub zbierania pokazującego się już ziela kaczeńca, szykując to wszystko do kraszenia. Po zapłociach, gdzie słońce silniej nagrzewało ziemię, można już było znaleźć zielonkawę dziobę wylaniającego się chrzanu, za którym ze szpadkami uganiały się niektóre dzieciaka.

No bo co też to by były za święta bez chrzanu, po tyłim głodowaniu w poście? Toteż gdy nadszedł tydzień wielkanocny, gdy zaczęło się wędzenie, smażenie i pieczenie różnych różności, kiedy przyszła Wielka Sobota, a ksiądz pokropił święconkę, to choć ty z domu uciekaj od tych zapachów, od tych smaków, które dopiero jutro można będzie spróbować.

Paweł Tetera stanął w kościele niedaleko progu, bo to po rezurekcy i wyjść będzie łatwiej i do domu prędzej zdąży. Zawsze ono, prawda czy nie prawda, ale jak mówią, ten pierwszy z każdą robotą w gospodarstwie się upora, co pierwszy w Wielkanoc z kościoła do domu powróci, więc i dziś tego się trzymał, a po drugie — miał przecie w kieszeniach marynarki dwie pary pisanek, które chciał oddać po wyjściu tym łobuzom chrześniakom, jeśli tylko dojrzy ich w tłumie, a oddać przecie trzeba, bo niby taki zwyczaj.

Rozglądał się po ludziach, nucąc cichym basem:

„Łukasz z Kleofasem  
oba jednym czasem  
szli do miasta Emaus...”

Tylko, czy oni — płatała mu się za śpiewaniem myśl — szli do tego miasta ot, tak sobie, czy może na targ, a może to byli kupcy i szli za kupnem koni — medytował po gospodarsku, kończąc „Alleluja!” każdą zwrotkę razem z innymi.

Przy wychodzeniu w oka mgnieniu zaczął się tworzyć zator, bo takich jak on, skorych do wyjścia, było wielu. Wsadził więc obie ręce do kieszeni, starając się palcami poprzegradzać niewinne pisanek i jał powoli posuwać się ku drzwiom, ale już po paru krokach poczuł, że go ciżba ludzka unosi niemal przez całą kościelną sień, a w jednej z kieszeni nowej marynarki robi się lepka ciecz.

Za parkanem przyspieszył kroku i dopiero mijając zabudowania Klimka wyrzucił niemilą zawartość z kieszeni i obtarł ręce o starą trawę, do domu doszedł jednak pierwszy od innych.

W pierwszy dzień świąt wedle zwyczaju nie tylko że nie wypadło wychodzić do sąsiadów, czy, ot tak, gdzieś, ale człowiek był taki ociężały od tego jada i napitku, że i ruszać się po prostu nie chciał, tylko byś się sobie wylegiwał, a i popijał co nieco...

Za to na drugi dzień już z samego rana ruch w każdym domu panował niemały, farbowano jaja kurze, gęsie, kacze, a kto miał, to nawet i od afrykanek. Najpiękniejsze to chyba wychodziły te czerwone, z lupin cebulowych, z plewy owsianej były już żółte,



Pisanki z okolic Chelma

niecio zielonkawę, a gotowane w ziele kaczeńca miały kolor trawiasty, mdły. Pisanek trzeba było umieć zrobić, toteż nie każda brała się do tej roboty, za to jak już która wypisała, to choć na wystawę posłój, takie były piękne.

Paweł ostrożnie wyjmował jeszcze gorące z saganu i odkładał w wodę, oddzielnie te, które mu się widziały mocniejsze na kumanie, a te słabsze — na zjedzenie. Potem, gdy już ostygły, brał po jednym i leciutko a drobnie stukał o swój jeden, jasko przeciwni zęb, który mu pozostał i sprawdzał, jakie było mocne, które najmocniejsze, a które do niczego. A takie już w tym miał wyczucie, że rzadko, lub prawie wcale się nie mylił. Więc do przetaka ładował samych kurzych, w kapeluszu brał trochę gęsi, kilkoro kaczych i wychodził, na wieś, gdzie już czekali inni amatorzy kumania, starsi, młodszy — oczywiście — dzieci, pełno dzieci.

Kumanie polegało na tym, że chętni partnerzy swoim najmocniejszym jaskiem uderzali lekko w jasko przeciwnika i czyje jasko zostało zбите z obu końców — było przegrane i przechodziło na własność zwycięzcy, nadając się już — oczywiście — tylko do zjedzenia. Czasami partnerzy wymieniali między sobą swe jasko i dopiero po takiej transakcji zaczynali się kumać.

Był jeszcze inny sposób gry, może tylko bardziej lubianej przez dzieci. Młanowicie wybierało się niewielki stok, wzniesienie gruntu i po prostu puszczało się po tym pochyleniu jasko, które, tocząc się, gdzieś tam w końcu się zatrzymywało. Z kolei robił to samo przeciwnik i tak na zmianę, dotąd, aż czyjeś toczące się jasko stuknęło to na dole i wtedy wygrywało to, które się toczyło.

Przy kumaniu należało być ostrożnym, przebiegłym i niekiedy z twarzy



i miny przeciwnika wyczytać, z jaką on siłą staje do pojedynku. Bywali nieraz i tacy specje, którzy tak precyzyjnie przez dziurkę przekłutą igłą w surowym jajku potrafili je spreparować, nalać smołą lub woskiem, że sam diabeł by się na tym nie poznał, no i było mocne, niezwykłe.

Niektórzy mieli jajka wytoczone z drewna, rychtyk jak kurze, pięknie farbowane, które niekiedy tylko po ciężarze, jeśli zechciano ci je dać do ręki, można było rozpoznać. Zacięta walka trwała cały dzień, na każdym placu, prawie przed każdym domem. Wszędzie się widziało umazane żółtkiem usta dziecięce, na drodze, na ścieżkach leżały różnokolorowe skorupki jaj, no i było pogodnie i ciepło.

Paweł, otoczony tłumem kibiców, wśród których także dochodziło do lokalnych pertraktacji i kumania, przemieszczał się powoli z jednego końca wsi na drugi, poszukując nowych partnerów i świeżych emocji. Sito napelniało się po sam czub. Wygrywał.

Trzeci dzień świąt to już niby święto, i nie święto, a w Stawkach i okolicznych wsiach właśnie w tym dniu wypadło obławanie. Gdzieś tam po-

Hanka Nowobielska

(Białka Tatrzańska woj. nowosądeckiej)

### WIESNĄ...

Wcisnął mi do życia sprawy ludzkie

jak strzępki gmy porwane,  
sprawy znane — nieznanne,  
śpiewonki w jednej nutce.

Wcisnął mi do życia sprawy leśne  
cetynu, mechu kistką,  
wzrostem zwonkowy listków  
śledzonym cheba we śnie,

Wcisnął mi do życia sprawy dziwne

pochnością, światła kruskiem  
i mentylowym skrzydłem.

Muzyką młodej brzoźki  
grają mi syćkie julsy —  
pijanę wiesną idem...

Józef Skura

(Sandomierz)

### CHŁOPSKIE RĘCE

Chłopskie ręce przez wieki  
ziemię tę żyźniły,  
żywiły nas i żywią  
i bronią w potrzebie.  
Wciąż wschodzą nowe,  
twórcze, niespożyte siły,  
ktos dojrzewa i drzewo  
wyrasta na glebie.

Czas jak skiby odwraca  
naszych dziejów barką  
podzi się w trudzie  
i kształtuje nieraz w męce,  
a my nadal idziemy  
w dążeniu upartym,  
trudzą się niestrudzone  
twarde chłopskie ręce.

Cecylia Zielińska

(Michelin, woj. wrocławskie)

### REFLEKSJE

Wm zważysz się  
zorzy uśmiechem.  
Ognista kula  
wspina się po niebie.  
Bzy, szalejąc,  
syją woń fioletową.  
Krzyk dzieci  
precina ciszę.

Na dróg skrzyżowaniu  
staruszek przysiadł.  
Duma:  
Którym strumieniem odpłynął  
czas mojego życia?  
Którym ptakiem odfrunął?

Gdzie kamień,  
w który wrosną  
milczeniem?

### WIOSENNY RANEK

W oddechu poranka wyraźniej las,  
Kalina strząsa nocną koszulę mgły,  
Ustami kwiatów szepce wiatr.

Ptaki opuszczają ciepłe gniazda,  
nawołując się na poranny koncert.

Słońce, na zielony spacer idąc,  
zbiera stubarwną rosę  
w złoty dzban.

N skrzydłach pieśni fruną godziny  
wiosennego ranka.

### OTO WIES MOJA

Chaty, jak łabędzie na falach listowia.  
W kwitnących akacjach wiatr rozplata  
młode rozylski pszczoł.

Kwiaty rozchyłają barwne usta,  
lejąc wań słodkosenną.  
Młyn pelen strachów.

Na tacy stawu gwiazdy szczerozłote.  
Księżyc podkową zahaczył o drzewa.  
Wierzy nad stawem stare jak legenda.

Oto wieś moja.



# Spadnę gwiazdą...

**R**ZADKO kiedy opinia samych poetów ludowych o ich koledze po piórze tak dokładnie pokrywa się ze zdaniem krytyki, jak ma to miejsce w przypadku Henryka Bilki. Oto fragment wiersza Marii Kozaczkowej z Dąbrowy Tarnowskiej:

Zanim Bilka wiersz napisze,  
Idzie w góry kozie śladem,  
Ptaki w smrekach pokolysza,  
Albo praśnie wodospadem...  
W wiersze wrzuca serca brylki  
I — to cała twórczość Bilki!  
Oddajmy teraz głos krytyce, którą reprezentuje  
Zbigniew Siatkowski:

„A wiersz taki, że na wskroś w nim widać autora: prosty, poważny, z godnością i trochę z zasmuceniem. Gościńcem idzie poprzez ziemię, człowiek, idzie ku swemu nieodpartemu losowi: ku ziemi. Gościńcem poetycki, wiersz, przynosi nam chłopski syn — Henryk Bilka. Wiersz wynika z ziemi i dla niej owocuje.”

Obie te wypowiedzi to świadectwo wysokiej oceny postawy życiowej i dorobku literackiego popularnego beskidzkiego poety, w którym zaakcentowane zostały niezwykle cenne zalety: ścisły związek z przyrodą oraz szczerść i głębia uczuć. Życie potwierdziło słuszność tej opinii całkowicie.

Henryk Bilka urodził się 19.1.1910 r. w Stryszawie, w b. pow. Sucha Beskidzka, skąd jego rodziców bieda wygnała do Stanów Zjednoczonych „za chlebem”, oddano go więc pod opiekę babki i ciotek. Rodziców w życiu nie zobaczył, podobnie zresztą, jak i szkoły, musiał się bowiem od podstaw uczyć sam, by dopiero po długich latach korespondencyjnie ukończyć szkołę średnią, konkretnie technikum ekonomiczne. A zaczynał od przypadkowo zyskanych gazet, książki do nabożeństwa i kalendarzy.

„Jedyna kradzież, jaką popełniłem w życiu — napisze po latach — to kradzież kalendarza sąsiadki, która nie chciała mi go pożyczyć. Oczywiście po przeczytaniu podrzuciłem sąsiadce ten kalendarz.”

Od najmłodszych lat działał też społecznie: należał do zarządu kółka rolniczego, założył drużynę siatkówki, wygłaszał odczyty oświatowe, jego też dziełem była biblioteka Towarzystwa Szkoły Ludowej.

„Pamiętam — wspomina Bilka — że będąc bezrobotnym i nie mając pieniędzy na dorożkę, nosiłem na barkach z centrali TSL w Żywiecu do dworca kolejowego książki w drewnianej szafce.”

Tuż przed wojną zaczął pracować w redakcji „Głosu Robotniczego” w Bielsku, by po kilkunastu miesiącach przenieść się do fabryki włókienniczej i zasmakować robotniczego chleba. Ranny w kampanii wrześniowej, zbiegł z obozu jenieckiego w Krakowie i dalej walczył w partyzantce.

Po wyzwoleniu w 1945 r. osiadł na stałe w Andrychowie, woj. bielskie i znów podjął działalność społeczną: jako radny, członek komisji oświatowej, opieki społecznej i lokalowej, aktywista ZSL, ZBoWiD-u. Był współzałożycielem Towarzystwa Miłośników Ziemi Żywieckiej, przy którym założył niezwykle prężną Grupę Literacką „Gronie”, której jest prezesem. Od początku też pracował we władzach Stowarzyszenia Twórców Ludowych, ostatnio jako członek ZG a następnie przewodniczący Głównego Sądu Koleżeńkiego STL. Szczególnie aktywny był poeta w ostatnich latach, gdy po zawale i przejściu z pracy w umiłowanym leśnictwie na rentę inwalidzką mógł się już bez reszty oddać literaturze i służbie społecznej.

Pisać zaczął mając lat 17, zaś już w 1929 r. zadebiutował na łamach „Roli”, drukował następnie we „Wsi — jej Pieśni”, „Dzwonie Niedzielnym”, „Wielkopolaninie” i innych pismach. Dopiero jednak po wojnie jego nazwisko trafia do niemal wszystkich antologii i prasy ogólnopolskiej i regionalnej. W 1978 roku ukazują się niemal równocześnie 2 jego tomiki: „Medytacje chłopskie” i „Spadnę gwiazdą”.

Pisał i drukował do ostatniej chwili. Jeszcze w 1978 roku przesłał pod adresem Stowarzyszenia Twórców Ludowych 65 nowych wierszy, a kilkanaście już znajdowało się w posiadaniu tej organizacji.

„Z księżycem pogwarzę złotym,  
co pośród gwiazd błogo drzemie,  
wzniosę się w górę i potem  
gwiazdą upadnę na ziemię.”

Upadł gwiazdą 28.12.1978 roku, zaś 31.12.1978 roku spoczął na zawsze na cmentarzu w ukochanym i opiewanym w wierszach Andrychowie.

Helena Chłopkowa

## NAD GROBEM

Pamięci Henryka Bilki

Już nigdy —  
zaszumiły oszronione drzewa  
nad usypanym świeżo kopcem Twojej mogiły.  
Na zawsze —  
wiatr w gałęziach cicho śpiewał  
tym, którzy dzisiaj pośpiesznie przybyli,  
by Ci ostatnie złożyć pożegnanie  
i na Twą trumnę rzucić garstkę ziemi.  
Wyrosłeś —  
z chłopskiej doli, z wieśniaczego trudu,  
przez całe swoje życie śpiewałeś pieśń chłopską.  
Ochodzisz —  
serdeczny i dumny syn Beskidu —  
niech więc rodzinna ziemia będzie Tobie lekka.  
A pieśń Twoja —  
którą wiatr niesie znad Koszarawy —  
jak kwiat wiosną powróci pod próg Andrychowa.

Andrychów 31.12.1978

Jan Kowalski

## TAK NAGLE

Pamięci Stanisława Komoniewskiego

Tak nagle, niespodziewanie  
ufeciałaś od swoich pól,  
tak nagle, niespodziewanie  
zostawiłaś po sobie ból.

Nie napiszesz pieśni o Warmii,  
które zasłyszysz w polu,  
nie przemierzysz roli krokami,  
nie wyrwiesz z ziemi kąkol.

Mról na krzyżu zawiesz srebne sople,  
biały puch utulił Twą mogiłę,  
ktos bliski opuścił lzy kroplę —  
brylantem załśniła przez chwilę.

Więc śpij poeto spod strzechy,  
piewco ludzkiej niedoli,  
nie zaznasz już uciechy,  
ni tego, co boli.

Ilawa, 14.1.1978

# Cóż miłszego nad mą wioskę?

**S**TANISŁAW Komoniewski urodził się 14.10.1907 r. w Woli Kaniugowskiej, woj. ciechanowskie, skąd wkrótce jego rodzice, ubodzy rolnicy, przenieśli się do Krzywki, woj. elbląskie, z którą przyszył poeta związał się na całe życie. Mimo trudnych warunków ukończył 6 klas gimnazjum, zaś po odbyciu służby wojskowej (1929—1930) wrócił na wieś, by poza pracą na roli działać na niwie społecznej, walczyć o polskość Warmii i Mazur i chwycić za pór.

Wiersze zaczął pisać już w 1922 roku, zaś jego debiut przypadł na rok 1928, a po licznych publikacjach prasowych w „Gońcu Nadwiślańskim”, „Zielonym Sztandarze”, „Wielkopolaninie”, „Wsi”, „Spolem”, „Obronie Ludu”, „Wiściach” itp., w 1933 r. doczekał się pierwszego samodzielnego tomiku pt. „Szara przedza”. Jego niewątpliwy talent zwrócił na siebie uwagę Antoniego Olchy, który wprowadził go do komitetu redakcyjnego „Wsi — jej Pieśni” i do Związku Literatów Ludowych, a tuż przed wybuchem II wojny światowej poeta podjął pracę w redakcji „Gońca Nadwiślańskiego”.

Obok pracy twórczej Komoniewski działał na niwie społecznej i politycznej, m. in. współpracował z Marcelim Nowotką, zakładał koła Polskiego Stronnictwa Ludowego, zaś za organizowanie strajków chłopskich dostał się do więzienia. Z kampanii wrześniowej trafił do niewoli niemieckiej, ale natychmiast po wyzwoleniu wrócił do

pracy na roli, założył zespół artystyczny, dla którego pisał teksty, będąc jego kierownikiem i reżyserem.

Pisał dużo i równie dużo drukował tak w prasie, jak i w antologiach. Był współzałożycielem Międzywojewódzkiego Klubu Pisarzy Ludowych w Lublinie (1965) i Stowarzyszenia Twórców Ludowych (1968), sprawując w ich władzach odpowiedzialne funkcje. Jego wszechstronną działalność uhonorowało państwo przyznaniem Złotego Krzyża Zasługi, Odznaki Zasłużonego Działacza Kultury, Odznaki Zasłużonego dla Warmii i Mazur, dwukrotnie nagrody i dyplomu honorowego Ministra Kultury i Sztuki. Komoniewski zdobył wiele nagród literackich w tym — tuż przed śmiercią — nagrodę artystyczną im. Jana Pocha.

Dzięki swej prostocie, szczeroci i fantastycznemu wprost umiłowaniu przyrody i ziemi ojczystej, dzięki też zaangażowaniu w dziejącą się współczesność wiersze Komoniewskiego, bliskie każdemu czytelnikowi, stają się poetycką kroniką zachodzących w jego regionie przemian.

Nie znaczy to, że poeta odszedł od tradycji. Pisał:

„Mimo mody — wieki miną —  
Chłopskie pieśni nie zaginą!”

Pozostał też wiernym synem wsi, której poświęcił życie i serdeczne strofy swej poezji:

„Cóż miłszego nad mą wioską,  
Ponad sadów więź rumianą,  
Ponad ciche życie sielskie,  
Nad mą wioską ukochaną?”



Teofil Ruczyński

(Lubawa, woj. olsztyńskie)

DO  
SKOWRONKA

Skowroneczku, szare ptaszę,  
Wróć na puste pola nasze,  
Wróć ptaszyno, wleć pod nieba,  
Bo nam twej piosenki trzeba.

Czeka rolnik nasz poczciwy  
Twej piosenki, tej znad niwy.  
W trudnej pracy rosną siły,  
Gdy usłyszysz śpiew twój miły.

Tęskni za twoją piosenką  
Stara, siwa babuleńka,

Dziadek, słyszac twoje tony,  
Znów się czuje odmłodzony.

Pastuszkowi, co to boso  
Idzie z bydłem ranną rosą,  
Mile chwile sprawisz dziecku,  
Gdy mu śpiewasz, skowroneczku.

Więc skowronku, mile ptaszę,  
Wracaj już na pola nasze.  
Wróć ptaszyno, wleć pod nieba,  
Bo nam twej piosenki trzeba!

Hanka Nowobielska

PO  
ŚMIERZCI

Nie fceńm żyć tako, jak grzyb, co zmursoł,  
hej, Miely, Mocny — wiedz to! —  
niekze śmierć przydzie, jak dobro wrózka,  
dotknie mie swą poleckom.

A kie mie dotknie, to sie odmienie:  
bedem mlecowym piórkiem,  
bedem pokrzyku dziwnym korzeniem  
i jesce cieniem chmurki.

I śpiewem ptosków, gmaq, wiatru tchnieniem,  
a moze wodą w rzece?  
Juz mi nie stawi granic cłowiece,

bo syćkim bedem — i syćko we mnie,  
poznom tojności Nieba i Ziemie,  
ftorym oddalak serce.

Kolumny poświęcone twórczości ludowej  
redagował Roman Rosiak









# To przecież było tak dawno

Czesław Kuriata

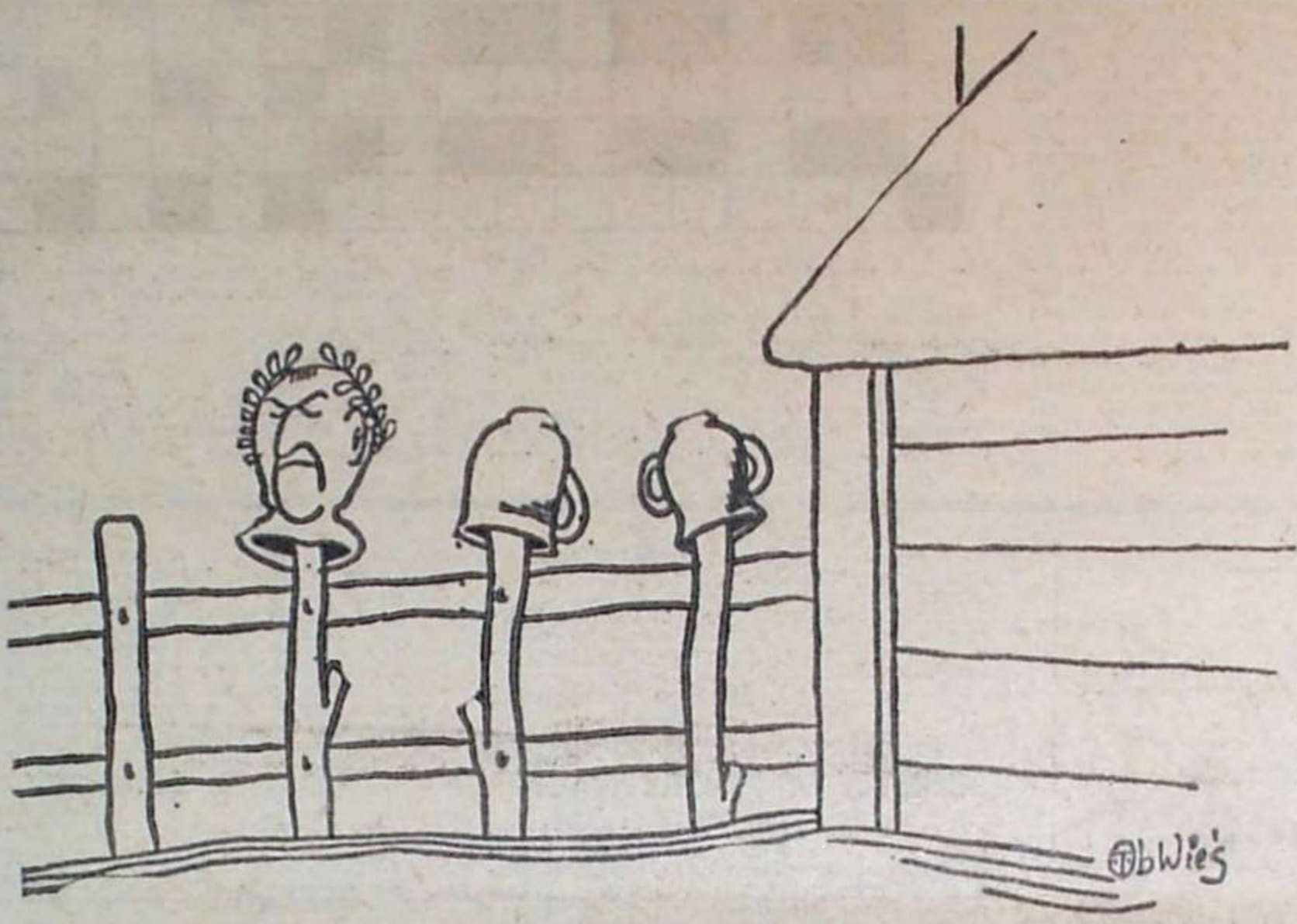
**M**OJ przyjaciel, którego znam od dzieciństwa, zaprosił mnie do siebie. — Ile tu figur o najróżniejszych kształtach geometrycznych i kolorowych, przemysłowych wycinanki! — wykrzyknąłem z prawdziwym podziwem wchodząc do pokoju dzieciennego w domu mego przyjaciela — A taką grę intelektualną ma również mój Marciniek — pochwiliłem się.

Przyjaciel nagle zaszepił się, jak by na wspomnienie czegoś, co sprawiło mu wyraźną przykrość. — Na szczęście mogę to już na-

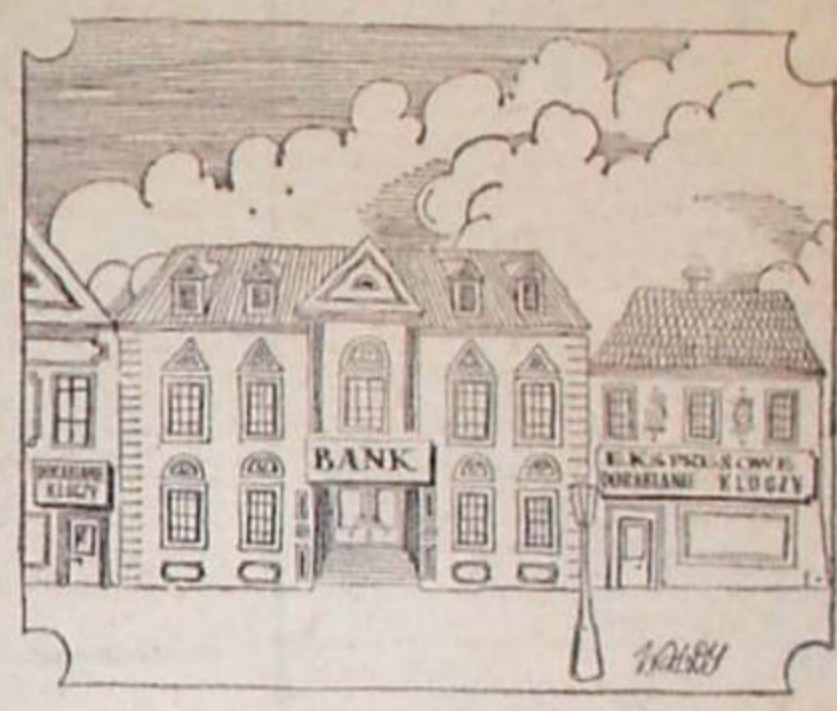
reszcie wyrzucić — po chwili powiedział z wyraźną ulgą. — A to dlaczego? — zapytałem zdziwiony, sądziłem bowiem, że pokazuje mi to wszystko z poczuciem dumy. — Zmieniłem synowi przedszkole. — A co, nie miał tam odpowiedniej opieki? — Na twarzy mego przyjaciela odmalował się wyraz nieestetycznego grymasu. — Oplekaj to on miał, nawet przesadną — odpowiedział smętnie. — Zmieniłem mu przedszkole ze względu na siebie.

— Nie z tego nie rozumiem? — zapytałem szczerze zdziwiony. — W przedszkolu, do którego chodził, zadawano mu za trudne zadania — wyjaśnił. — To głupota, aby robić z przedszkola uniwersytet. — Nie, nie w tym problem. Mój Marciniek potrafi rozwiązać każde zadanie. — A więc o co chodzi, u licha? — nadal nie nie rozumiałem. — Po prostu wstydzilem się, że nie potrafię rozwiązać nawet tych zadań, które on rozwiązuje z dziecięcą łatwością — przyjaciel wyznał ze skruchą — O, patrz, nie wiesz przypadkiem od czego trzeba zacząć, aby z tych figur ułożyć granitostup?

Mój przyjaciel, którego znałem od dzieciństwa, wręczył mi klocek o najróżniejszych kształtach. Przerazony natychmiast pożegnałem się z nim, wymawiając się pilną konferencją, na którą i tak już jestem spóźniony. Nie mogłem ryzykować. To przecież było tak dawno, gdy chodziłem do przedszkola!



Rys. W. Fuglewicz



Rys. Waldemar Rukát



To powinno podnieść rangę naszego koncertu  
Rys. Witold Barbara

Ianusz Gaudyn

## AFORYZMY

Mały jest świat oglądany przez lufę karabinu.

\*  
Niektórzy podnoszą się tylko dlatego, by móc ponownie upaść.

Robert Karpacz

## ODPRYSKI

Optymista nawet w ostatniej godzinie mówi, że dni jego są policzone.

\*  
Unikajmy cieni, które rzucają na nas światła.

### KSIAŻKI ZE STRYCHU

## Z Wersalu do klasztoru

T. Straszewski

### KSIAŻKI ZE STRYCHU

Król czując się obrażony śmiałością markiza, nie rzekłszy ani słowa, obrócił się doń plecami, lecz zaraz potem posłał mu rozkaz, by natychmiast opuścić awor i udać się do swych posiadłości.

Athenais de Montespan opuściła także Paryż, lecz po to tylko, aby pojechać do Wersalu w ramiona oczekującego ją króla!

Od tego czasu doła biednej Luizy była przesądzona! Rychło też cały Paryż obiegiła wieść, że La Vallière ma następczynię!

Najdłużej wierzycie temu nie chciała królowa. W jej prawym sercu nie mogło ponieść się, by markiza była tak dalece przewrotna i fałszywa. Prędko jednak poczuła różnicę pomiędzy panowaniem Luizy a panowaniem jej następczyni.

Luiza panowała tylko nad sercem króla i starała się oszczędzić, o ile to w tych warunkach było możliwe, przykrość i upokorzeń królowej.

Ambitna Montespan chciała szerszą zagarnąć władzę i z siebie uczynić królową całego dworu, jeśli nie całej Francji.

Bale, zabawy, uroczystości na cześć nowej kochanki następowały jedne za drugimi. Rozrzutna, próżna markiza pełnymi garściami wyrzucała pieniądze ze skarbca królewskiego.

Ludwik XIV aczkolwiek oczarowany nową faworytą, nie odepchnął jednak zupełnie swęj dawnęj kochanki, jak to zazwyczaj monarchowie ze swymi zdegradowanymi wybrankami robili.

Nie wiemy, czy uczynił to przez resztki sentymentu, jaki czuł dla tej tak oddanej i kochającej go istoty; czy też aby była ona pokrywką jego stosunku z nie-lubianą dla swęj pychy przez szerszą publiczność markizę; czy też, że te dwie tak odmienne kobiety działały podniecająco na serce i zmysły króla, znużonego już niece i przesyczonego zbyt pełną czarą życia, z której pił dotychczas bez miary i skrupułów.

Dość, że Luiza przez pięć lat jeszcze przebywała na dworze wersalskim, zmuszona wyraźnym życzeniem króla brać udział u boku swęj szczęśliwej rywalki we wszystkich uroczystościach dworskich. Przechodziła też ona przez całą Gólgotę udręceń, rozczarowań i upokorzeń. Przez jej biedne serce przelewała się wciąż kolejno — raz fala rozpacz,

gdy widziała, jak jej kochanek ulega coraz bardziej czarowi markizy; to znów nadziei, gdy król, wzruszony jej niemym cierpieniem, odniósł się do niej serdeczniej; to wreszcie cichej rezygnacji i chęci pogodzenia się ze swoją dołą, jako karą za popełnione grzechy.

Jeżeli w rzeczywistości zgrzeszyła swą wielką miłością, to odpokutowała ją dziesięciokrotnie, patrząc na triumfy swęj następczyni nad sercem ubóstwianego wciąż przez nią króla i mozę jej wtedy nieraz przewinęła się przez udręconą główkę myśl, że niepotrzebnie sobie psuła minione dni szczęścia — w których król był dla niej najczulszym kochankiem — ciągłymi wyrzutami swęgo wrzliwego sumienia.

Jakież te chwile stracone bezpowrotnie musiały wydać się jej błogimi!

Jakże inaczej hucznie, dumnie, rozrzutnie używała swęgo szczęścia ambitna Montespan!

Wprawdzie król od czasu do czasu, jakby przypominając sobie swą dawną miłość, a mozę nieraz i znużony ciągłymi wybrykami kapryśnego humoru pięknej markizy, szukał chwil wytchnienia u swęj dawnęj kochanki. Czasem też — gdy widział, że ktoś ze dworu, nie licząc się już z odrzuconą metresa królewską, ubliżył jej — jego rycerskość i galanteria zwyciężały obawę wymówek ze strony markizy i okazywał Luizie wobec całego dworu swój dla niej szacunek, nakazując go przez to innym. Lecz chwile te niepotrzebna budziły nadzieję w sercu Luizy, gdyż potem w tym większej pograżała się rozpacz. Zresztą te oznaki pamięci o niej króla były coraz rzadsze, coraz bardziej o niej zapominał.

Zaszedł wprawdzie jeszcze jeden wypadek, który, gdyby Luiza nie była tak prawą i tak mało wyrażoną w miłości, mozę byłby zdolną przywrócić jej bodaj na jakiś czas serce niewiernego kochanka...

Oto markiza de Montespan, która w głębi serca obawiała się wciąż jeszcze uroku Luizy, starała się wszelkimi siłami przedstawić ją królowi w jak najgorszym świetle. Kiedyś też, chcąc mu udowodnić, że Luiza nie myśli już więcej o nim i nie jest mu tak wierna, za jaką ją uważał, wzmówiła w niego, że zajęła się jednym z panów dworu, a nawet ma zamiar go poślubić. Sprytna intrygantka, aż nadto u-

miejęca grać na zmysłach i uczuciach mężczyzn, tym razem przerachowała się.

Zazdrość odezwała się w sercu króla. Sam, już nie kochając Luizy, miał pretensję, by pozostała mu zawsze wierna, a mozę nawet wydała mu się ona, gdy przekonano go, że kocha innego, jeszcze drogą. Dość, że natychmiast udał się do Luizy i zrobił jej, zdziwionej i przerażonej, formalną scenę zazdrości.

— Najjaśniejszy Panie — rzekła, zrozumiawszy wreszcie, o co chodzi Luiza — przed Tobą istniał dla mnie tylko Bóg i po Tobie mozę być także tylko Bóg.

Taka szczerość brzmiała w głosie i w smutnych, lecz pełnych, oczach Luizy, że król w tej chwili uwierzył jej, lecz w tej samej chwili ochłonął i Luiza znów stała mu się obojętną.

Gdyby bohaterka nasza była nieszczera i potrafiła, a przede wszystkim chciała odegrać komedię, potwierdzając, że podejrzenia króla nie są bez podstawy, zapewne, powodowany zazdrością, na nowo odkryłby wdzięk i urok wzgardzonej kochanki. Kiedy jednak uwierzył, że ta jest mu w dalszym ciągu wierna i nie zdradza go, uspokojony powrócił do markizy.

Z czasem też Luiza zobojętniała królowi prawie zupełnie...

Jedyną pociechą były dla niej dzieci. Z czworga, którymi obdarzyła swęgo kochanka, pozostało jej dwoje: córka, Maria Anna, uroczą dziewczynka, przypominająca bardzo matkę (poślubiła ona później księcia Conti) i mały Ludwik, późniejszy hrabia Vermandois.

Śłodką choć niewielką ulgą była także dla niej okoliczność, że królowa, mająca tak dobre serce i nie pamiętająca krzywdy, jaką Luiza jej wyrządziła, darzyła ją obecnie swym współczuciem a nawet sympatią.

Biedna Luiza! Pragnęła też ona pocieszyć się, uważając swoje cierpienie jako ekwiwalent za swą grzeszną miłość. Mawiała też często: „To wola Boża, że kara za mój występki spada na mnie z tej ręki, która mi tyle dobrego dała, z ręki tego człowieka, z którym zgrzeszyłam”.